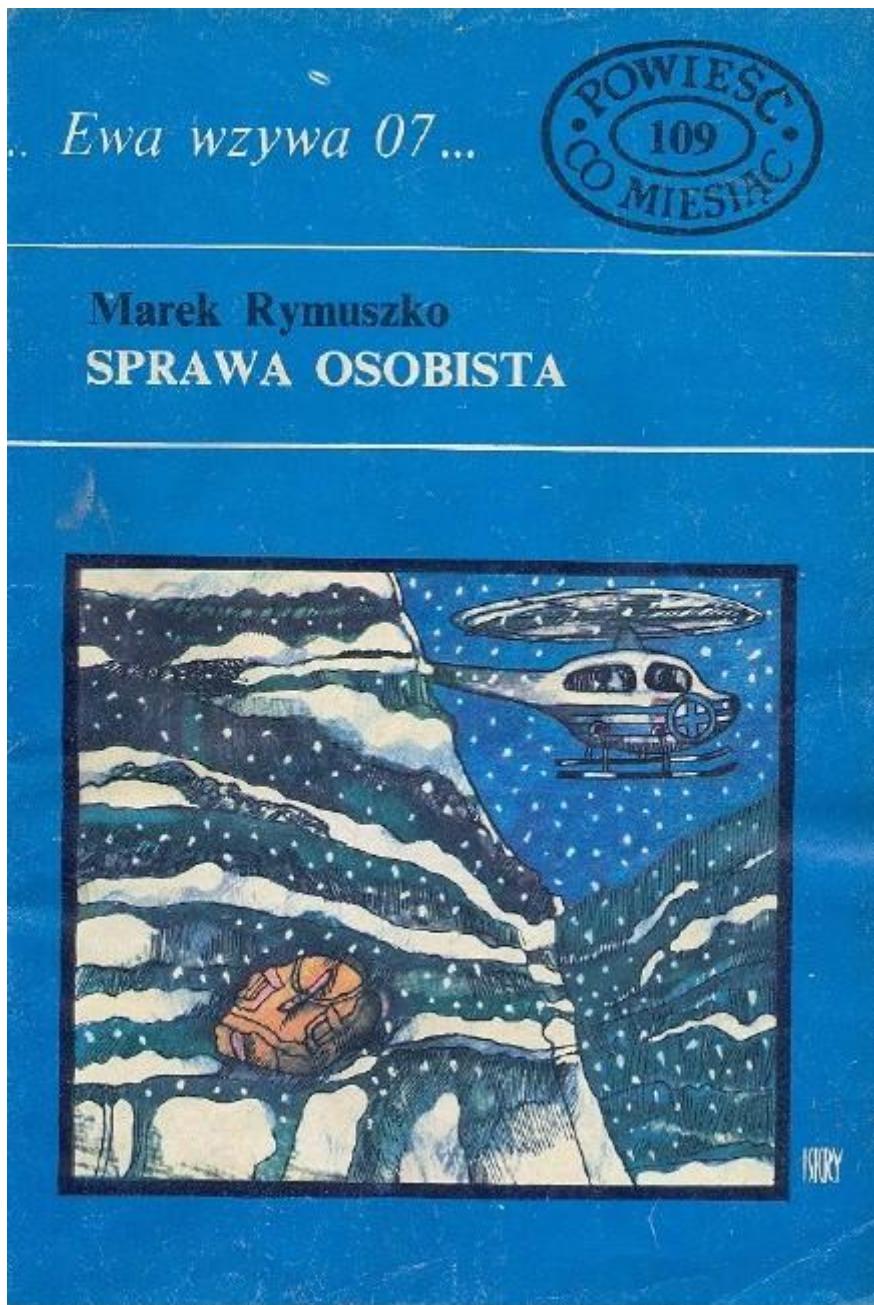


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Marek Rymuszko

Sprawa osobista



Część I

HALNY UCICHŁ PRZED ŚWITEM

Orkiestra po raz któryś z kolei tej nocy grała „Ramaya”. Trzeba było dużej sztuki, żeby na sylwestra do „Watry” ściągnąć właśnie tę trupe, tylko pozornie rozrywkową, w rzeczywistości zaś dramatyczną, co z każdą godziną stawało się coraz bardziej oczywiste. Facet, tłukący w bębny, miał oblicze krasnoludka po dużej wódce i z trudem utrzymywał rytm, wyznaczany improwizacją zaplutego saksofonu. Pianista, tępo wpatrzony w pierwszy z brzegu stół, przy którym kiwała się sennie rozłożysta blondyna, przebierał palcami po klawiaturze w sposób niekoniecznie zgodny z linią melodyczną forsowaną przez basy. Te ostatnie obsługiwał najwyraźniej skołowany grubas. Jeśli chodzi o wokalistkę, to zamilkła definitywnie w okolicach północy; jej chrypnący z minuty na minutę głos już znacznie wcześniej sygnalizował owo szczęśliwe w istocie rzeczy wydarzenie. Zresztą, na żalosne widowisko mało kto już zwracał uwagę. Godzina pierwsza w nocy to nie jest pora na muzyczne kontemplacje, zwłaszcza tu, w samym centrum górskiej metropolii. Na parkiecie buzował tłum: podniecony, przytupujący, idiotycznie rozweselony. Tych ludzi nie zmógł nawet, wiejący od kilku dni halny. Spadł na Zakopane drugiego dnia świąt i odtąd dał nieprzerwanie, zamieniając resztki Śniegu w kałuże wody; malując na szaro pokryte białym puchem granic oraz nękając kurort niską, niespotykaną jak na tę porę roku temperaturą. Bezmyślny tłum, przewalający się od początku grudnia po Krupówkach, wyraźnie oklapł. Nic pomagały porozpinane kozuchy i powyciągane z walizek, niczym na urągowisko, parasole. Halny trzymał się doliny, jakby na przekór temu niedzielnemu towarzystwu, które przez cały rok w różnych krańcach kraju przymierzało narty z myślą o świątach w górach, a potem okrążyła noc jechało na stojąco spóźnionymi pociągami, by koniec końców wpaść prosto w deszczy mgłę i ciepły, odzywający się kluciem w sercu, wiatr.

Od początku nie miałem ochoty na całą tę imprezę, ale w święta jak zwykle zameldowali się pod Gubałówką Maciek z Danką, którzy już w czasie studiów lansowali model rozrywki w stylu akademickiego klubu „Ubab” i konsekwentnie hołdowali mu do dziś, znakomicie godząc to z karierą naukową. Tym razem przywieźli ze sobą koleżankę z wydziału, która, jak nic omieszkali podkreślić, robi doktorat ze zobowiązań; o ile dobrze zrozumiałem, pisała pracę na temat umowy rachunku bankowego w ujęciu kodeksu cywilnego. Ela okazała się dziewczyną nadzwyczaj miłą i w taki oto sposób musiało się siać to, co się stało: na sylwestra wylądowaliśmy we czwórkę w lokalu, gdzie na parkiecie panował nieustanny ścisk, niczym przed bramą pobliskiego składu z węglem. Szczęściem nasz stół stał pod samym oknem i stwarzał szanse bezpiecznego przetrwania szalejącego tumultu; jeśli nie liczyć kilku obowiązkowych tańców, których nie udało mi się, niestety, uniknąć. Piszę: niestety, gdyż tańczę wyjątkowo podle i tego bezspornego faktu nie mogła przekreślić dyskretne milczenie Eli — doktorantki, mającej ambicję wniesienia nowych przemyśleń do złożonej problematyki umowy rachunku bankowego w ujęciu kodeksu cywilnego i judykatury.

Grupa instrumentalno—wokalna „Stasiek i Jasiek” skończyła się właśnie znęcać nad „La Palomą”. Jej leader uzgadniał kolejny repertuar z facetem o zasepionej twarzy, który wyciągnął z kieszeni pięćsetkę. Gdzieś pośrodku sali z hukiem pękł balon, wywołując salwę aprobującego śmiechu. Przy barze mecenas Zakapturzy z żoną spijali koniaki. Bawili się, zdaje się, znakomicie. Na mój widok mecenas skinął dostojnie wielką, siwą głową. Podobnie, jak ja, nie zdradzał tej nocy ochoty do profesjonalnej konwersacji, prywatnie zaś nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

W oczekiwaniu na muzykę Ela poprawiała włosy. Właśnie wtedy zauważyłem z niepokojem, że przepycha się w naszym kierunku pan Tosiek. Pruł przez tłum, przecinając go na pół, niczym śruba słynnego lodołamacza „Czeluskina”. Pan Tosiek do niedawna pracował jako woźny w prokuraturze. Od paru miesięcy parzenie herbaty i utrzymywanie porządku w tym szacownym urzędzie zdradził na rzecz gospodarki wieszakami w szatni „Watry”, gdzie najął się za wysokokwalifikowanego szatniarza. Miało to ten dobry skutek, że w razie potrzeby pozwalało zarezerwować stolik nawet w ostatniej chwili, co aa lokalnej giełdzie towarzyskiej niewątpliwie się liczyło.

Pan Tosiek dotarł wreszcie do nas. Miał nie doprasowany kołnierzyk od koszuli i był wyraźnie podniecony. Najpierw złożył pełen szacunku ukłon Elżbiecie, a następnie poufnie się ku mnie pochylił.

— Panie prokuratorze — sapnął — jest telefon do pana.

Niestety, pan Tosiek, o czym zapomniałem powiedzieć, ma głos dudniący niczym karabin maszynowy, który wymaga dokładnego zbadania przez rusznikarza. Poufny ton u pana Tośka ma ten skutek, iż bynajmniej nie wpływając na ściszenie pana Tośkowego barytonu, wzbogaca go o brzmienie, w którym czai się sensacja.

Kątem oka dostrzegłem, że dyskretne przekazanie wiadomości przez pana Tośka odniosło łatwo widoczny skutek wszyscy wokół gapili się na nas, a jedna z par odsunęła na bezpieczną odległość. Zespół zaczął znowu grać, tym razem coś, czego nie byłem w stanie zidentyfikować.

— Panie Tośku — powiedziałem z wyrzutem — tyle razy już panu mówiłem, żeby się pan wreszcie przestawił i na gruncie towarzyskim nie straszył ludzi służbowymi tytułami. Gdzie ten telefon?

Pan Tosiek zasapał urażony.

— U pana kierownika na zapleczu, panie pro... — tu urwał, napotykając mój zimny wzrok. Ruszył ponownie do przodu, torując przejście między tańczącymi parami. Obserwowałem jego zręczne ruchy i doszedłem do wniosku, że tak właśnie musi wyglądać akcja goryli prezydenta, który nie może się dopchać do mównicy obleganej przez rozentuzjasmowanych wyborców.

Na zapleczu nie było nikogo. Podjąłem odłożoną słuchawkę.

— Prokurator Borowy przy telefonie. Co jest? Po tamtej stronie usłyszałem odgłos, który mógł ewentualnie uchodzić za zakłopotane chrząknięcie.

— Obywatelu prokuratorze, mówi dyżurny komendy miasta, porucznik Kłos. Przepraszam, że przeskadzam, ale jest pan potrzebny. Mamy trupa.

Usiadłem przy stoliku z serwetą we wściekle kolorowe pasy. Taki deseń mógł wymyśleć jedynie ktoś, kto był chory psychicznie.

— Słuchajcie, poruczniku — powiedziałem możliwie najuprzejmiej po pierwsze przyjmijcie życzenia do siego roku. Po drugie chciałem was poinformować, że ja nie mam dziś dyżuru przy telefonie, więc zupełnie nie rozumiem, dlaczego dzwonicie z tym do mnie.

W słuchawce zapanowała cisza. Wreszcie dyżurny odezwał się ponownie.

— Panie prokuratorze... — zaczął i w jego głosie teraz już wyraźnie wyczuwałem zakłopotanie, wraz z którym we mnie zaczęła narastać złość. — Chodzi o to, że tam jest trudne dojście... myśmy się porozumiewali telefonicznie z prokuratorem rejonowym i postanowiono... to jest, chciałem powiedzieć, otrzymaliśmy polecenie, żeby pana odszukać, więc...

Zagryzłem wargi. No. oczywiście. Cholera. że też ciągle nie mogą się do tego przyzwyczaić. Moja romantyczna wizja prokuratora—szeryfa, jaką wyniosłem kiedyś ze studiów już dawno niestety utonęła w napływających co dzień na biurko notatkach służbowych i puchnących w oczach aktach, przez które trzeba było przedzierać się nieraz i wieczorami. Kowbojskie życie zafundowała mi za to Grażyna. Każdy dzień małżeństwa z nią musiał obowiązkowo eksplodować nowymi pomysłami, nie do końca przemyślanymi i przygodami niekoniecznie atrakcyjnymi. Nie udało nam się przez te parę lat skleić nic, co pozwoliłoby utrzymać jaką taką równowagę między moją szarą biurkową robotą i jej pokazami mody. Rozeszliśmy się bez żalu oraz zbędnych korowodów i oceniając ten fakt z perspektywy czasu, muszę powiedzieć, że był to wyjątkowo dobry pomysł. Wtedy też właśnie powziąłem decyzję o wyjeździe w góry, ale (o już jest zupełnie inna sprawa, nad którą nie warto się rozwodzić. Zresztą...

Poczułem, że jestem zmęczony. Spojrzałem na zegarek: była pierwsza dziesięć.

— Panie prokuratorze... — odezwał się zaniepokojony dyżurny — jest pan tam?

— Niestety, jestem — westchnąłem — gdzie ten trup?

— W Mułowej. Facet zleciał chyba z Krzesanicy. Goprowcy natknęli się na niego w czasie akcji. Pojechał tam już porucznik Łabędzki z ekipą. Mułowa, to jest. panie prokuratorze, za Miętusią, tam trzeba najpierw...

— Dziękuję wam, poruczniku, za cenne informacje — warknąłem — chwalić Boga, włóczę się po górach od dziecka i wiem, gdzie jest Dolina Mułowa. Mam natomiast pytanie, po jaką cholere mnie ciągniecie o tej porze? Jeśli to górski wypadek, umawialiśmy się przecież, że robicie sami z lekarzem oględziny, a my potem zatwierdzamy. Co znowu urodziliście, że wam jestem potrzebny do niańczenia?

Dyżurny zamilkł. Właściwie cała ta rozmowa niepotrzebnie się przedłużała, zwłaszcza że, jak dostrzegłem, zza kotary podsłuchiwał ją pan Tosiek.

— Panie prokuratorze — zameldował się ponownie dyżurny — ja panu nie mogę nic więcej powiedzieć, bo sam niewiele wiem. Coś tam jest w każdym razie dziwnego, tak goprowcy mówili porucznikowi Łabędzkiemu i on wyjeżdżając prosił, żeby to przekazać. Niech pan rzuci okiem, przed wejściem już powinien czekać łazik. Posłałem dziesięć minut temu. Myśleliśmy o helikopterze, ale nie da rady. Pan wie, halny. Jakby słabnął, ale jeszcze za silny. Żeby tak jutro...

— No już dobra, dobra — przerwałem mu — zaraz wychodzę. Macie z nimi łączność?

— Tak jest, obywatelu prokuratorze.

— Powiedzcie, że jadę. Niech dadzą przynajmniej jeden reflektor w naszą stronę, żebyśmy się nie pętali po Miętusiej jak duchy alpinistów.

Położyłem słuchawkę i udając, że nie widzę wzroku pana Tośka, w którym wyczytałem sto siedemdziesiąt osiem rozbudowanych pytań, wyszedłem do hallu. Przyszło mi do głowy, że właściwie powinienem się jakoś usprawiedliwić, ale walczący zaciekle tłum na parkiecie chwilowo wykluczał dotarcie do stolika. Zresztą, na pewno już się domyślili.

Z rozświetlonego, falującego wnętrza wypadłem w spowitą chmurami noc. Mżyło. Gazik czekał przed samym wejściem, W środku obok kierowcy siedział miody sierżant z paskiem zaciągniętym pod brodą. Na mój widok zasalutował.

Ruszyliśmy w kierunku Kasprusi, gdzie przydzielono mi służbowy pokój. Miałem w nim mieszkać do czasu, aż znajdzie się coś lepszego, ale siany tymczasowe trwają najdłużej i ugrzęzłem tam na amen. Normalnie,

Przebranie zabrało mi niespełna pięć minut: Założyłem stare, wysłużone alpejki i ciepły skafander. Halny dął cały czas, przechylając ku szosie ogołocone z liści drzewa. Koło piekarni na Krzeptówkach gramolił się pijak z przywiązanym do guzika balonem. Wiatr przeszkadzał mu w utrzymaniu równowagi i z powrotem przytulał do chodnika.

— Ładny balon — zauważył szofer — a pan, panie prokuratorze, kupił jakiś balon?

Chciałem już powiedzieć, że jak na razie robię tej nocy za największego balona, ale w porę ugryzłem się w język. Ciągłe zapomniałem, że zgodnie z tym, czego mnie uczono na aplikacji, muszę dbać o utrzymanie należytego dystansu w stosunku do współpracowników.

Skręciliśmy na pełnym gazie w Dolinę Kościeliską. Wiatr jakby na chwilę przycichł. Odezwał się znowu ze zdwojoną siłą, gdy gazik, chrypiąc i podskakując na kamieniach, dotarł na Miętusią. Tu posuwaliśmy się już ostrożnie. Ziemia była mokra, choć całe szczęście nie tak grząska, jak przewidywałem. Wydobryłem podręczną mapę.

— Jedziemy na Wantulę, a potem trzeba będzie leżeć piechotą — mruknąłem.

Podjechaliśmy jeszcze kilkaset metrów, aż naszym oczom okazało się ogromne cmentarzysko kamiennych bloków. Wyszliśmy. W pobliżu siał z zapalonymi światłami drugi gazik, ten, który przywiózł ekipę porucznika Łabędzkiego.

— Poprowadzę — kierowca, młody chłopak, mówiący wyraźnym, góralskim akcentem wysforował się do przodu. Poznałem w nim jednego z goprowców odznaczonych niedawno za akcję na Mięguszowieckim.

Wiatr uderzył nas w plecy, pchając między bielejące w ciemności skały. Przejście kotła Wielkiej Swistówki zajęło ponad godzinę. Teraz musieliśmy pokonać Cyrk Mułowy. Pięliśmy się do góry w mżawce, wściekle posapując. Wreszcie zobaczyliśmy światła w Mułowej na tle, jeszcze niewidocznego w ciemności, urwiska Krzesanicy. Kiedy dotarliśmy na miejsce, było pięć po wpół do czwartej.

— Cześć — porucznik Łabędzki uścisnął mi dłoń. Wokół zasilanych z agregatu reflektorów krzątali się goprowcy i funkcjonariusze. Zobaczyłem też doktora Sęporka.

— Dziękuję wam, poruczniku, za urozmaicenie mi nocy — powiedziałem — może się wreszcie dowiem, co się stało?

Podszedł do nas Michał Stępień. Od chwili, kiedy podczas fatalnej pogody zdjął z Kazalnicy dwóch jajorzy, którzy do szczętu zgłupieli w ścianie, posyłał go na najtrudniejsze albo najmniej wdzięczne akcje.

— Kurczę, co za dzień — poskarżył się — najpierw rano szukaliśmy jakiejś starej ciotki, która uparła się robić w charakterze wyczynowca wysokogórskiego, a od dziesiątej wieczorem ściągaliśmy z Krzesanicy faceta, który złamał girę. Na szczęście kumpel upewnił się, że go można zostawić na półce i poleciał nas zawiadomić. Mieliśmy kłopoty ze sprzętem i zanim tu dotarliśmy, zrobiło się późno. Jak go ściągaliśmy, była północ. Wtedy właśnie chłopcy zauważyli pod urwiskiem tego — wskazał na ciemny kształt, nad którym pochylał się doktor Sęporek. — Musiał chyba leżeć kilka dni. Sprawdziliśmy na wszelki wypadek w wykazie, ale nic zgłaszali nam żadnego zaginięcia.

— No, dobrze — przerwałem mu — ale co z tego wynika? Spadł pewnie na łeb z urwiska, nawet wiem, w którym miejscu, bo sam kiedyś mało nie zleciałem tam podczas mgły na zbity pysk. Na Krzesanicy

jest takie obniżenie szlaku, gdzie grań urywa się pionową krawędzią dorzuciłem widząc zainteresowanie w oczach porucznika. — Wystarczy zła widoczność i można się nic połapać, zwłaszcza jak ktoś nie zna gór. Nie rozumiem tylko, co ja tu mam do roboty?

— No właśnie, panie prokuratorze — odezwał się Łabędzki — sęk w tym, że to jakiś dziwny wypadek. Facet jest ubrany jak doświadczony turysta. Założył buty saperki, bardzo dobre na śliski teren, sportową kurtkę i spodnie narciarskie, a nic ma plecaka. I w ogóle nie ma nic ze sobą.

— Jak to nie ma? Może, jak spadał, plecak oderwał się i leży gdzieś w pobliżu?

— Szukaliśmy, ale nic nie znaleźliśmy. Zresztą to mało prawdopodobne. Spadłby razem z plecakiem. Dziwne.

— A kto to w ogóle jest?

— Obszukaliśmy go, ale nie ma żadnych dokumentów. Cholera wie.

Ruszyliśmy w kierunku Sęporka. Fotograf strzelał właśnie ostatnie zdjęcia. Doktor wyprostował się.

— Miazga — powiedział. — Wszystko dokładnie połamane plus rozwalony łeb. Nic ma cudów, panowie, patrzcie, skąd on zleciał. Jeśli już nic nie macie, to może byście mnie wreszcie odwieźli. Chętnie bym powitał Nowy Rok w łóżku. Protokół podpiszę pojutrze.

— Zaraz, doktorze — cierpko zauważyłem — żadnych innych śladów pan nie widział? Spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.

— Drogi prokuratorze zaczął ze swoim typowym grymasem, którym ongiś kwitował zapewne nieudolne wysiłki studentów, usiłujących w ramach ćwiczeń przeprowadzić sekcję zwłok — otóż chciałem pana poinformować, że jeśli człowiek leci kilkaset metrów w dół, to jest tak skutecznie pogruchotany, że się nadaje tylko na złom.

— A czas? — spytałem. — Kiedy to się stało?

Sęporek, ściągając gumowe rękawice, wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że jakieś trzy, cztery dni temu powiedział ostrożnie — ale to dopiero można powiedzieć po dokładniejszym badaniu. Chyba nic będziecie go teraz ściągali — zaniepokoił się nagle.

Halny z wolna ustępował. Zauważyłem, że nie tylko mnie ta sześciodniówka dała się we znaki. Sęporek miał pod oczami wory wielkości pięćdziesięciogroszówek.

— Co pan sądzi, poruczniku? zwróciłem się do Łabędzkiego.

Niepewnym ruchem poprawił sobie czapkę.

— Pan decyduje — mruknął. Ten plecak mi się nie podoba. I brak dokumentów. Ale, jeśli doktor mówi, że nie ma wątpliwości...

Podszedłem bliżej i uniosłem plandekę, odkrywając zwłoki. W tym momencie poczułem, że ciarki przechodzą mi po plecach.

— Chodźcie no tutaj — powiedziałem głucho do kaprała, który stał obok z potężną latarką. W moim głosie musiało zabrzmieć coś tak niepokojącego, że zjawił się momentalnie, kierując mi snop światła prosto w oczy.

— Gdzie świecicie? — warknąłem. — Coście zwariowali? Tu poświećcie.

Snop z latarki omiół ciało i znieruchomiał na twarzy nieżyjącego człowieka. Odruchowo się cofnąłem.

Numer dwa — pomyślałem. A głośno powiedziałem:

— Ja go znam. To Andrzej Zwoliński.

— Ten reporter sądowy? — zdziwił się porucznik. — Skąd pan wie?

— Był moim kolegą ze studiów. Straciliśmy kontakt od czasu jak wyjechałem z Warszawy. Cholera.

Podetkali mi papierosa. Z trudem zapaliłem go na wietrze.

— Chodził po górach o każdej porze roku — mruknąłem. Kiedyś się wspinał, ale potem został przy turystyce. Miał góry w małym palcu. Nie tylko Tatry, zaliczył też Rodopy, Pirin i Kaukaz. Trudno uwierzyć, że to właśnie jemu...

— Więc co będzie, panie prokuratorze? — zapytał porucznik. Wszyscy byliśmy mocno zmęczeni.

Machinalnie postawiłem kołnierz skafandra.

— Wygląda na zwykły wypadek. Że też go musiało ponieść w taką pogodę — zakląłem pod nosem.
— Na wszelki wypadek sprawdźcie, z którego schroniska wyszedł.

— Mógł iść z miasta — zauważył jeden z goprowców.

— Mógł, ale może szedł z Ornaku, nie wiem, sprawdźcie. Trzeba zawiadomić dom i redakcję. Zróbcie protokół, w poniedziałek podpiszę.

Odwróciłem się i wolno ruszyłem doliną. Nogi miałem jak z gumy. Parszywe uczucie. Halny, kołaczący się jeszcze między Przystupem Miętusim a Cyrkiem Litworowym, stygł w dolinie.

Świtało.

Część II

OSTATNIE TROPY

1

— No, dobrze. Zamknąłem akta i zamyśliłem się. Sprawa dojrzała do wniesienia aktu oskarżenia. Po zostało jeszcze zaznajomienie podejrzanego z materiałami śledztwa. Dziwne, ale te 600 tysięcy, ukradzione ze spółdzielczej kasy zupełnie nie pasowało do księgowego, małego zasuszonego człowieczka, który latami systematycznie zawyżał faktury. Miał dom, żonę, dzieci, w perspektywie emeryturę i nawet nie bardzo potrafił wytłumaczyć, co go skłoniło do tej zonglerki cyferkami, za którą, zgodnie z artykułem dwieście pierwszym kk, musiał dostać minimum pięć lat. Trzeba będzie tylko zastanowić się jeszcze, czy nie pociągnąć z dwieście osiemnastki prezesa spółdzielni za kompletny brak nadzoru. Przez trzy lata ani jednej kontroli... totalny burdel na resorach. Tak, w każdym razie musimy go przesłuchać..".

Od czasu, kiedy wróciłem z dobrowolnego wygnania w Zakopanem, minęło parę miesięcy, które zdążyły już dać mi w kość. Warszawa, to był młyn, nieustanne tempo, roboty od diabła i trochę. Ale mimo wszystko cieszyłem się, że znów jestem na starych śmieciach. W rejonówce przyjęli mnie z otwartymi rękami; nigdy zresztą nic uważali tego dwuletniego wyjazdu, karencji, jak żartowałem, za mój najlepszy pomysł. Przydzielili mi, jak poprzednio, cięższe „kryminałki”: zabójstwa, wypadki, rozboje. Można powiedzieć, mieszanka firmowa. Sprawę nadużyć w spółdzielni dostałem właściwie przez przypadek, ale ponieważ ją rozkręciłem, postanowiłem skończyć. Właśnie miałem zamiar zadzwonić do komendy, by sięgnęli na rozmowę prezesa, gdy na biurku Witka.—który dziś cały dzień siedział w sądzie, odezwał się telefon. Powlokłem się niechętnie w tamtą stronę.—

— Czy mógłbym z prokuratorem Borowym? Mówi porucznik Zaczyk.

— Witaj, poruczniku Colombo — powiedziałem siadając na biurku — czym mnie znowu uraczysz?

Roman zasapał urażony. Bardzo nie lubił tego przezwiska. Z kolei szef nie lubił takich rozmów i gdyby usłyszał, jak do siebie z Romanem przemawiamy, pewnie by solidnie zmył łeb i to bynajmniej nie złotym szamponem.

— Dobra, dobra — powiedziałem uspokajająco — przecież wiesz, że w tej smutnej pracy trzeba czasem pozartować. Masz coś nowego?

— Owszem — Roman kartkował jakieś papiery — zatrzymaliśmy Kalaputa.

— Kalaputa? — zdziwiłem się. — No i daj wam Boże zdrowie, tylko co mnie do tego?

— Aha — Roman znowu się nastroszył — rozumiem, że cię sprawa nic interesuje. W takim razie to, że znaleźliśmy u niego parę pierścionków, tych ze skoku w Aninie, też pewnie nie ma dla ciebie znaczenia. Przepraszam serdecznie, stary, że ci zabrałem czas. Daj mi tylko nakaz aresztowania i już ci nie zawracam głowy.

— W porządku — poddałem się. — Jak do tego doszliście?

Sprawa Anina od kilku tygodni tkwiła w martwym punkcie. Nocny napad został przeprowadzony w iście gangsterskim stylu. Sprawcy mieli cały czas na twarzy maski; domowników — kobietę i syna — zaskoczyli w czasie snu. Prawdopodobnie wiedzieli, że właściciela nie będzie; dwa dni wcześniej wyjechał na tydzień za granicę. Napastnicy zabrali całą biżuterię, trzysta dwadzieścia tysięcy złotych i przechowywane w gabinecie sejfie osiemset dolarów. Następnie jeden z nich — po uprzednim wyprowadzeniu z pokoju syna — dokonał gwałtu na młodej kobiecie. Dom opuścili około drugiej w nocy. Nikt z sąsiadów niczego nie zauważył. Przez parę tygodni dreptał w miejscu; żadnych odcisków, palców, najmniejszego punktu zaczepienia. Nic. A tu proszę...

— No, więc jak go złapaliście? — powtórzyłem niecierpliwie.

— A może wpadłbyś do nas? Podeślę ci wóz. Po niecałym kwadransie byłem w komendzie.

Rosły wartownik starannie obejrzał moją legitymację i oddając ją, zsalutował. Na schodach spotkałem funkcjonariusza pilotującego ze znudzoną miną Balubę. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko. Nie był to widok zbyt budujący, gdyż wskutek różnych—nieporozumień towarzyskich Baluba miała na przedzie wybite kilka zębów. Na szczęście szczyrby układały się w miarę symetrycznie, co w jakimś stopniu łagodziło uciążliwość estetyczną objawiania przez nią zyczliwości.

Roman walił wściekle na maszynie. Przywitaliśmy się.

— Widzę, że kompletujecie znajome towarzystwo — stwierdziłem z uznaniem — Kalaput, teraz widziałem Balubę. Jeszcze tylko Czesterfielda brakuje...

— Już go przymknęliśmy — Roman spokojnie wykręcił kartkę z maszyny. — Ale najpierw przeczytaj.

Szybko przebiegłem oczami maszynopisu. Była to notatka służbowa sporządzona przez wywiadowców, operujących w rejonie Bazaru Różyckiego. Wynikało z niej, że wczoraj rano zatrzymali jakiegoś młodego człowieka w chwili, gdy oferował 'na sprzedaż pierścień z zielonym oczkiem. Zaprowadzony do radiowozu bez większych oporów podał adres na Targowej. Ten adres znaliśmy; mieszkał tam Toni, siary łobuz i szczywany paser. Toni na początku próbował manewrów wymijających, kiedy jednak zobaczył, że funkcjonariusze zabierają się do skrupulatnego przeszukiwania całego mieszkania, szybko zmienił taktykę i wyjaśnił, że pierścień kupił od Baluby za 1500 zł, po czym puścił go w obieg za dwa.

— A ile to warte? — spytałem Romana.

— Jakieś cztery do pięciu tysięcy, nie więcej. Zobacz teraz, co mówi nasza laleczka.

Prześlizgnąłem się wzrokiem po pierwszych liniijkach protokołu, przekazujących sumę informacji o Balubie, w rzeczywistości Marzenie Czajko. Te dane znaleźliśmy już na pamięć, Baluba należała do naszych dobrych znajomych. Skoncentrowałem więc uwagę na właściwej części protokołu. Pisany był specyficznym urzędowym językiem, do którego z trudem wprawdzie, ale w końcu się przyzwyczailem. Czytałem: „Uprzedzona o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania oświadczam co następuje: zaindagowana przez przesłuchującego mnie funkcjonariusza na okoliczność przekazania pierścionka złotego z zielonym oczkiem, który został mi w tym momencie okazany, Janowi Antolakowi pseudonim «Toni», zamieszkałemu ulica Targowa 81 m. 2, oświadczam, że okazany mi pierścionek rozpoznaję i jest to ten, który przekazałam Janowi Antolakowi pseudonim «Toni» zamieszkałemu ul. Targowa 81 m. 2...”

— Moglibyście trochę staranniej pisać te protokoły — skrzywiłem się — dziesięć razy powtarzacie to samo. Co wam płacą od wierszówki, czy jak?

Roman wzruszył ramionami.

— Czego chcesz, przecież widzisz, że ją przesłuchiwali w dzielnicy. Nieważne jak, ważne co mówi. Czytaj.

„W posiadanie okazanego mnie pierścionka weszłam w sposób następujący: w dniu osiemnastym br., prostuję, w dniu siedemnastym br., przyszedł do mojego, mieszkania «Czesterfield». W odpowiedzi na pytanie, wyjaśniam, że nie znam nazwiska Czesterfielda, my go tak między sobą nazywamy. Nie wiem dlaczego go tak nazywamy. Jak sobie przypominam, Czesterfield przyszedł do mnie koło godziny trzeciej po południu i zaproponował mi odbycie stosunku płciowego. Ja się na tę propozycję zgodziłam i odbyłam stosunek płciowy z Czesterfieldem. Następnie Czesterfield wyciągnął przyniesione ze sobą pół litra wódki, którą wypiliśmy. Na moją propozycję, żeby Czesterfield dał mi coś w zamian za stosunek płciowy powiedział on, że chwilowo jest bez forsy, bo cały bank trzyma Kalaput. doradził, żeby zgłosić się po wypłatę do Kalaputa. Ja nie traktowałam tego jako żart, gdyż współżyłam także z Kalaputem, od którego otrzymywałam kilkakrotnie różne prezenty. Prawdziwego nazwiska Kalaputa nie znam. Co do jego imienia, to mnie się wydaje, że ma Stasiak. Na zadane mi pytanie odpowiadam, że Kalaput mieszkał ostatnio przy ulicy Brzeskiej siedemdziesiąt, numeru mieszkania nie pamiętam, ale bym trafiła. Następnie udałam się do Kalaputa na ulicę Brzeską, którego zastałam w domu. Była to godzina siódma albo ósma wieczorem. Razem z Kalaputem wypiliśmy około pół litra wódki, a następnie Kalaput jeszcze ćwiartkę, ale już beze mnie, bo czułam się pijana. Po wypiciu tego alkoholu Kalaput zrobił mi dobrze, po czym zasnął. Postanowiłam sama rozgląd-

nać się po mieszkaniu i w trakcie tych poszukiwań w kredensie w kuchni znalazłam pierścionek. Ja ukradłam ten pierścionek, prostuję, zabrałam ten pierścionek, ponieważ uważałam, że mnie się coś od Czesterfielda i Kalaputa należy. Więcej żadnej biżuterii ja tam nie widziałam. Pierścionek sprzedałam Toniemu, który jest mi wiadomym, że kupuje i sprzedaje różne rzeczy. W odpowiedzi na zadane mnie pytanie, wyjaśniam, że nic mnie nie jest wiadomo, jakoby Toni był paserem. Ja z Tonim oprócz tego pierścionka żadnych interesów nie miałam. Za rzeczony pierścionek dostałam od niego 1500 zł gotówką, które wydatkowałam na zakup płaszcza. Dodatkowo, po zadaniu mnie pytania uzupełniającego dodaję, że Czesterfield, będący po wódce, powiedział dosłownie: „Zgłoś się po wypłatę do Kalaputa, on trzyma bank po robocie». To wszystko co jest mi wiadome w tej sprawie. Na tym przesłuchanie zakończono”.

— No, dobra — mruknąłem — a co na to nasz przyjaciel Kalaput?

— Oczywiście nie przyznaje się. W ogóle nie chce z nami gadać. Przesłuchaj go, może przy tobie będzie bardziej rozmowny.

Wprowadzili Kalaputa. Romek dyskretnie ulotnił się.

— Czołem Kalaput — powiedziałem. — Tak się polubiliśmy, że się co rusz to spotykamy. Przepraszam za niedyskretne pytanie, ale czy mógłbyś mnie poinformować, kiedy skończyłeś ostatnią odsiadkę?

Milczał tępo wpatrzony w zakratowane okno pokoju,

— Aha, jesteście obrażeni — pokiwałem głową. To nieładnie, grasz wobec mnie nie fair. Pamiętasz sprawę z włamaniem do Grubego Jasia? Opędzłowaliście wtedy faceta do suchej nitki. Gdybym ja się na ciebie obraził, napisałbym wam w akcie oskarżenia pięćdziesiąt tysięcy więcej. Bo że je wzięliście, dałbym głowę. Ale wiesz przecież, że odpowiadaliście tylko za to, co u was znaleźliśmy. Zyskałeś na tym. Kalaput, lekką ręką licząc, jakieś półtora roku. Czy nie uważasz więc, że obowiązuje cię coś w rodzaju wdzięczności?

Kalaput, nie przestając się gapić w okno, założył nogę na nogę.

— Skończył pan? — zapytał sennie. — To dobrze, bo mi się śpieszy na obiad do domu.

To był twardy facet. Nigdy nie poddawał się bez walki. Gdyby szef słyszał, w jaki sposób rozmawiam z tym chłystkiem, mającym już za sobą cztery wyroki za włamania i rozbój, postawiłby mnie pewnie bez skrupułów na dywanik. Szef nie znosił jakiegokolwiek innej formy zwracania się do podejrzanych poza tą, którą przewidywała instrukcja. Znał prawo, ale ja, szanując przepisy, znałem jeszcze życie. Rozmowę per „obywatelu" można było prowadzić z dyrektorem „Pewexu", któremu rozpułynał się w powietrzu niczym kamfora wagon dzinsów, nie zaś z takim facetem jak Kalaput, który narzucał reguły silnej gry i mógł uznać swą porażkę tylko w tego rodzaju pojedynku. Zacząłem spacer po pokoju.

— Na obiad, mówisz? — spytałem z troską. — Muszę cię zmartwić, Kalaput. Według moich pobieżnych wyliczeń najbliższy obiad w domu, jak dobrze pójdzie, zjesz gdzieś za piętnaście lat Jak myślisz, co podadzą: pierogi z kapustą czy omlet po japońsku? A wyobrażasz sobie, jak wódka do tego czasu podrożeje?...

Kalaput siedział nadal nieporuszony:

— Nic mi nie udowodnicie — powiedział wreszcie. — Jestem czysty jak łąza.

— Jak łąza? — zdziwiłem się szczerze. — Kalaput, bardzo cię proszę, nie rozśmieszaj mnie. Widziałem ostatnio w telewizji polski film psychologiczny, to mi wystarczy. Te pierścionki i bransoletki, które znaleźli u ciebie w popielniku, pewnie ci krasnoludki podrzuciły, co? Jeden rąbnęła sierotka Marysia, bo go niepo-

trzebnie wrzuciłeś do wazy na zupeł. Błąd, Kalaput. Starzejesz się. Ale do rzeczy. Brakuje nam jeszcze paru drobiazgów z tego napadu. Gdzie jest forsa?

— Dałem na zamek warszawski — zapewnił. Pomyślałem, że najważniejsze, to się nie denerwować.

— Nie wiedziałem, że cię interesuje zamek warszawski — zauważyłem — dotąd gustowałeś w innych zamkach. Jak otworzyliście ten dom w Aninie?

Znowu milczał, dla odmiany gapiąc się w ścianę.

— Nie powiesz? No to ja ci opowiem, jak było. Czesterfield miał swój podręczny złodziejski worek. Nie wiem tylko, kto był tym trzecim. Proponowałbym, żebyś go nam przedstawił, póki czas. Zastanów się Kalaput, to jest jakaś szansa.

— Niczego mi nie udowodnicie — powtórzył. Cały czas mnie ignorował.

— Nie udowodnimy? A co byś powiedział na to, że ktoś was widział, jak stamtąd wracaliście i pościągaliście już te karnawałowe maski? Tego nie przewidzieliście, co? Przykra sprawa. Człowiek was opisał dokładnie... Zrobimy konfrontację i cześć. Skoro już urządziliście bal maskowy, nie lepiej to było, zamiast zabawy w kowboi, przebrać się za inteligentnych przestępców? Jesteś do tyłu, Kalaput, taka jest prawda.

Teraz ja grałem nie fair. Bandytów nikt nie widział, nadał nie mieliśmy najmniejszego śladu. Chciałem jednak faceta sprowokować, żeby się przynajmniej na chwilę odsłonił. Nadal milczał, ale zauważyłem, że ostatnie słowa wywarły na nim pewne wrażenie.

— Przegrałeś, Kalaput — powiedziałem tonem surowego profesora, który w wypracowaniu wzorowego ucznia wykrył kompromitujący błąd ortograficzny — myślę, że nie masz wyjścia.

Poprawił się na krześle. — Świnia kiepską kartę miała, a ograła generała— mruknął sentencjonalnie.

— Kartę miała? — zdziwiłem się po raz drugi. — A jakąż ty masz kartę, Kalaput? Cztery wyroki, jedna odsiadka za drugą. To jest taka karta, przy której sąd jest wyjątkowo źle usposobiony, a ty wiesz, Kalaput, co to znaczy.

Niestety, znów jakby nabrał pewności siebie.

— Nic ma tak źle, żeby nie mogło być gorzej — powiedział rzeczowo.

Doszedłem do wniosku, że jednak go dziś nie złamię. Był w nadspodziewanie dobrej formie. Zdecydowałem się podjąć ostatnią próbę.

— Gorzej, powiadasz? — podjąłem znów spacer po pokoju. — Co to znaczy Kalaput: gorzej? Będziesz odpowiadał za rozbój i to z dwieście dziesięć paragraf dwa, bo mamy tu zeznanie, że groziliście tym ludziom nożem. Wiesz, jaka jest sankcja: minimum pięć, skala najwyższa prowadzi do nieba. Po drugie gwałt z użyciem niebezpiecznego narzędzia — sto sześćdziesiąt osiem paragraf dwa. Minimum trzy lata, ale to dobre dla przedszkolaków. Tobie według zasług należy się z tego artykułu piętnaście. Razem... policz sobie, dobrze sobie policz, Kalaput. Więc co ty gadasz: „nie ma tak źle, żeby nie mogło być gorzej?” Jak ja mam rozumieć tę szczerłość? Gorzej, to już chyba tylko morderstwo. Czyżbyś chciał powiedzieć, że załatwiłeś kogoś, a my o tym nie wiemy?

Kalaput nadal siedział, jakby coś ważył w myślach.

— Ja tego nie zrobiłem — powiedział wreszcie wolno.

— Czego?

— Gwałtu. Możecie mnie sądzić za włamanie, ale gwałt to nie ja. Mówiłem temu idiocie Czesterfieldowi, że przez niego będą kłopoty.

Odetchnąłem. Wyciągnąłem papierosy i podsunąłem Kalaputowi. Wziął z pewnym ociąganiem.

— Gdyby nie ta dziwka, co mi wyciągnęła pierścionek, gównu byście wiedzieli — usprawiedliwił swoje nagłe wyznanie.

Sięgnąłem po akta i zacząłem je przerzucać. Właściwie można już było przystąpić do protokołowania, ale chciałem jeszcze porównać wykaz rzeczy które zginęły podczas napadu na willę w Aninie z listą przedmiotów, zakwestionowanych podczas rewizji w mieszkaniu Kalaputa. Tu jej nie znalazłem. Zadzwoiłem więc po funkcjonariusza, by przypilnował Kaiaputa, a sam przeszedłem do sąsiedniego pokoju, gdzie Roman parzył kawę. Sięgnąłem po interesujący mnie protokół i, nim go podał, przebiegł wzrokiem kilka pierwszych linijek.

— No, więc, tak — zaczął — jest tu kilkanaście pierścionków i dwie bransoletki, dokładnie odpowiadające opisowi sporządzonemu przez właścicielkę. Dalej, japońskie radio tranzystorowe, wisior z pantofelkiem, notabene ładna rzecz, aparat fotograficzny marki „Pentacon Six” i złoty zegarek z dewizką, ale to już jest rzecz z zupełnie innego włamania, do mieszkania Zwolińskiego. Wiesz, tego redaktora, który zginął w Tatrach. No, co...? — urwał, widząc osłupienie na mojej twarzy.

— Do Zwolińskiego było jakieś włamanie? Nic nie wiedziałem.

Teraz z kolei zdziwił się Roman.

— A dlaczego miałeś wiedzieć?

— No, bo jak by ci to powiedzieć, przyjaźniliśmy się. Stara znajomość, jeszcze ze studiów. Skąd wiesz, że to akurat jego zegarek?

Roman wzruszył ramionami. — Jest napis na dewizce z jego nazwiskiem, a poza tym zgadza się cała reszta. Włamanie było parę miesięcy temu, to robił potem Mokotów. Jak i wiadomość o wypadku redaktora przysłała do Warszawy, szukali kogoś z rodziny, ale okazało się, że matka żyje gdzieś w Szczecińskim, przyjechała dopiero po dwóch dniach. Pierwsza zgłosiła się dziewczyna, z którą ostatnio mieszkał, mają tam zapisany jej adres. Właściwie to mieszkali razem tak pół na pół, on przyjeżdżał często do niej na noc, a w swoim mieszkaniu przy Bokserskiej zwykle pracował. Kiedy pojechali z nią, żeby otworzyć tę kawalerkę, okazało się, że ktoś już doszczętnie ją splądrował. Wszystko było poprzewracane do góry nogami, szuflady rozbabrane, rzeczy z szafy powywalane, normalne pobjowisko.

Poczułem nagle dziwny niepokój, podobny do tego, który mnie dopadł tam, u stóp Krzesanicy.

— Co zginęło? — zapytałem sucho.

— No, nie bardzo wiadomo. Okazało się, że forszę trzymał w PKO, a książeczka była u niej. Poza tym nic w domu wartościowego nie miał z wyjątkiem tego zegarka, który dziewczyna — podała do protokołu. Mówiła, że jeszcze chyba zginął magnetofon, ale sprawdzili, okazało się, że zostawił w redakcji. Sprawa umorzona wobec niewykrycia sprawców. Teraz, jak znaleźliśmy ten zegarek u Kalaputa, wszystko staje się jasne. Tyle że prawie rok przeleciał. A dlaczego cię to aż tak interesuje?

Od kilku sekund odruchowo bębniłem palcami po biurku. Roman przyglądał mi się z niepokojem.

— Coś prędko umorzyliście — stwierdziłem ze złością — człowiek ginie, obrabiają mu mieszkanie, a wy nic, tylko „umorzyć”. Bardzo ładnie.

Roman wzruszył ramionami.

— Mówiłem ci, że to robił Mokotów, nic my. Poza tym, czego się ciskasz? Przecież zginął w wypadku. Podobno byłeś tam wtedy, więc wiesz najlepiej. Co...? — spojrzał na mnie z namysłem. — Masz jakieś podejrzenia?

Potarłem czoło.

— Nie, nie... To był chyba rzeczywiście wypadek: mgła. wiatr, on miał nie po kolei w głowie z tą łąką bez względu na pogodę.

— ... tak jak i ty — uzupełnił Roman.

— ... sprawdzaliśmy potem, okazało się, że wyszedł ze schroniska na Ornaku, gdzie nocował, przedtem był dzień w schronisku na Chochołowskiej. Poszedł przez Tomanową i potem na Czerwone. Spacer, gdyby nie ta pogoda. Może chciał schodzić do Małej Łąki... nie wiadomo. Słuchaj, a gdzie mieszka ta dziewczyna?

Roman podniósł słuchawkę telefonu.

— Zaraz ci ustalę jej adres. Ale właściwie po co? Masz przecież zegarek i Kalapula.

— Tak, ale... Co ten facet miał wspólnego z Andrzejem? Załóżmy, że wiedział o wypadku z gazety, choć on wygląda na takiego, który najwyżej sylabizuje bajki dla dzieci. Ale jeśli nawet, to' skąd znał adres? Czekaj, pogadam z nim jeszcze. Do Anina już się przyznał...

— Niemożliwe — Roman nic ukrywał zdumienia — jak to zrobiłeś?

Wróciliśmy do pokoju. Kalaput siedział z obojętnym wyrazem twarzy i palił papierosa. Kapral wyszedł.

— Jest jeszcze jedna sprawa, wymagająca wyjaśnienia — powiedziałem zimno patrząc na faceta. — ? Ten zegarek. Skąd go masz?

Natychmiast znów się usztywnił.

— Dostałem w prezencie od firmy za gratisową reklamę na Różyckiego — odparł tym samym tonem, którym prowadził ze mną rozmowę przed paroma minutami. Mnie jednak definitywnie przeszła ochota do żartów. Rąbnąłem z całej siły pięścią w stół.

— Kalaput, ostrzegam cię, że to do niczego nie prowadzi. Zegarek należy do redaktora Andrzeja Zwolińskiego. Przekonywanie nas, że to nieporozumienie, byłoby zajęciem mało zajmującym, o czym pragnę cię lojalnie uprzedzić. Bardzo bym również nie chciał tracić czasu na wysłuchiwanie opowieści, że dostałeś len zegarek od żony z okazji rocznicy ślubu. Zrób mi tę przyjemność i powiedz, jak człowiek człowiekowi: w jaki sposób znalazłeś się w mieszkaniu, z którego ten zegarek rąbnąłeś?

Kalaput nie odezwał się ani słowem. Usiadłem naprzeciwko niego. Zaświtała mi nagle pewna myśl.

— Pamiętasz? — powiedziałem. — Nie ma tak źle, żeby nie mogło być gorzej... Coś takiego mi tu przed godziną wygłosiłeś, prawda? I pamiętasz, co ci wtedy odpowiedziałem? Otóż Kalaput. słuchaj mnie

teraz uważnie: przypomnij sobie dokładnie, jak było z tym zegarkiem, jeśli... nie chcesz stanąć pod zarzutem morderstwa,

Kątem oka dostrzegłem, że Romek osłupiał. Kalaput wyraźnie się zaniepokoił. Wybałuszył na mnie oczy.

— Jakiego morderstwa? — wymamrotał wreszcie. — W co wy mnie chcecie zrobić?

Patrzyłem na niego twardo.

— Ty wiesz. Kalaput. o co chodzi — zaakcentowałem ostatnie słowa. — Jak to było z reduktorem Zwolińskim?

Tym razem przeraził się nic na żarty.

— Ja nic nie wiem, panie prokuratorze. Co tu jest grane, jak rany? Wszystko powiem, ale nie wrabiajcie mnie w takie rzeczy.

— Mów.

— Było tak — zaczął — jak się ukazał w gazecie nekrolog tego redaktora jakoś zaraz po

Nowym Roku, przyszedł do mnie Docent i mówi:

— Jaki Docent? — przerwałem ostro.

— No. Docent, mieszka w tyra samym wieżowcu co redaktor. On mi nadał to mieszkanie. Ja. panie prokuratorze, sam bym tam nie trafił, ani gazet nie czytam, ani na Bokserskiej nie mam żadnych interesów. Docent powiedział, że w tym mieszkaniu musi być forsa, bo redaktor miał swój samochód i książkę wydal podobno... Więc Docent, jak przeczytał nekrolog, to wykalkulował, że trzeba wykorzystać okazję. Przyszedł z tym do Czesierfielda, ale Czeslerfielda wtedy nie było, bo robił za tragarza na Gdańskim, więc Docent mnie zaproponował tę robotę. Sam nie chciał się w nią pchać, bo milicja ma go od dawna na oku, jest trefny, faktycznie, byli potem u niego, ale on na te dni wyrobił sobie alibi. Siedział pod Warszawą i frytki sprzedawał ze szwagrem. Umówiliśmy się, że za nadanie mieszkania odpalę mu ćwierć doli. Poszedłem tam tego samego dnia wieczorem. Myślałem, że z drzwiami będzie ciężka robota, ale jakoś poszło, redaktor miał „Skarbcza” w pogardzie i nie zmienił zasuw, którą ja, panie prokuratorze, nie chwaląc się, otwieram w dwie minuty.

— No. dobra, dobra, i co dalej?

— ... i, panie prokuratorze, jak Boga kocham, wszedłem do tego mieszkania, a tam wszystko było przewracane do góry nogami. Z początku się nastraszyłem i chciałem wiać, ale potem jeszcze zajrzałem do szafy i znalazłem ten zegarek. Leżał na wierzchu, nawet dziwno mi było, że ci. co byli przede mną. nie wzięli go. Docent potem powiedział, że to ładne parę tysięcy kosztuje, ale nie radził tymczasem sprzedawać. Mówił, żeby czekać, aż wszystko przycichnie. Ofiarował się, że go sam przechowa, ale ja wołałem ten zegarek zabrać. Docent jest stary szpenio, mógłbym już tego cacka na oczy nie zobaczyć. Zresztą, spodobał mi się i na razie nie zamierzałem go sprzedawać. Skąd miałem wiedzieć, że mi wyjmiecie wszystkie precjoza — rozżalił się nagle nad własną dolą i poniesionymi w czasie ostatniej doby stratami.

Stanąłem nad nim, patrząc z namysłem.

— Mam ci wierzyć. Kalaput? zapytałem. — A właściwie niby dlaczego? Skąd mogę wiedzieć, że mówisz prawdę? Mało to już razy kłamałeś w żywe oczy?

Poderwał się przerażony i znów opadł na krzesło.

— Panie prokuratorze, rany boskie, mówię jak było. To mieszkanie ktoś już zrobił przede mną. Docent też nie chciał wierzyć, jak z nim gadałem. Myślał, że go chcę zrobić w rebus, ale ja mówię prawdę.

— W porządku, idź się wyspać — powiedziałem uprzejmie. Kiedy zamknęły się drzwi, spojrzałem na Romana. Zrozumieliśmy się bez słów.

— Chyba tym razem mówi prawdę — wzruszył ramionami. — Chociaż...

2

Następnego dnia wypadła mi sesja w sądzie, która przeciągała się do czwartej, piątej po południu, zawsze, ilekroć sędził sędzia Pudbielski. Sędzia Podbielski spowiadał świadków w sposób niezwykle dociekliwy, co z jednej strony przyczyniało się niewątpliwie do pełniejszego wyjaśnienia sprawy, z drugiej jednak powodowało zatory na korytarzu sądowym i systematyczne zawalanie terminów wokand. Po każdej takiej sesji wracałem do domu zużyty jak zeszłoroczny garnitur, który ciągle jeszcze nosiłem, co zresztą Ela miała mi zdecydowanie za złe, podobnie jak tamto wyjście z sylwestra bez słowa wyjaśnienia. W ogóle od czasu, kiedy zamieszkaliśmy razem, musiałem pogodzić się z koniecznością zmiany trybu życia, dotąd kompletnie rozregulowanego i rozsadanego ciągłą improwizacją, która szalenie mi odpowiadała, natomiast z punktu widzenia Eli była nie do przyjęcia. Jako człowiek z natury rzeczy nadzwyczaj systematyczny, dała mi do zrozumienia, że skoro już zdecydowałem się na powrót do Warszawy i znoszenie jej towarzystwa powinienem podporządkować się przynajmniej niektórym (to ostatnie słowo Ela akcentowała szczególnie starannie) normom współżycia rodzinnego. Fakt, że ślub mieliśmy wziąć dopiero w okolicach Nowego Roku nic miał dla niej większego znaczenia. Jej życzenia odnośnie osoby na razie ograniczały się do tego, żebym w miarę możliwości precyzował orientacyjną godzinę, o której zawitam do domu, a także od czasu do czasu sprzątał przydzielony mi pokój. Oba wymogi, jakkolwiek, musiałem obiektywnie przyznać, nie nazbyt wygórowane, w praktyce były dla mnie trudne do spełnienia. Starłem się jednak być wobec Eli w porządku, bo w gruncie rzeczy przez te ostatnie dwa i pół roku znudził mi się już koczowniczy styl życia. Styl, który ubóstwiał Andrzej, co nas na studiach do reszty zbratało.

Andrzej ciągle nie dawał mi spokoju. Trzeciego dnia procesu jeden z ławników' nagle się rozchorował na przepuklinę i sprawa spadła z wokandy. Postanowiłem wykorzystać ten moment i pojechałem do komendy. Śledztwo, dotyczące napadu w Aninie, wyraźnie ruszyło z miejsca. Żona właściciela willi rozpoznała po głosie Czesterfielda, jako tego, który kierował napadem. Chłopcy zapudłowali też trzeciego faceta o dźwięcznym pseudonimie „Dziubas”. najniższego wzrostem z całej trójki, który w czasie napadu wiązał nastolatka i zakładał mu knebel. Nie odzyskaliśmy natomiast nadal forsę. Kalaput twierdził, iż umowa była taka, że do czasu, aż się wszystko uciszy, on bierze na przechowanie biżuterię, a Czesterfield złote i zielone. Czesterfield zaprzeczał w ogóle swojemu udziałowi w napadzie, podobnie jak i Dziubas. Dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

W komendzie czekała na mnie ważna wiadomość. Roman „zdział” Docenta w momencie, gdy ten w „Bristolu” kupował od Szweda tysiąc koron. Rewizja w mieszkaniu Docenta nie dała nic, ale już u jego przyjaciółki znaleziono sześćset dolarów i prawie trzysta tysięcy w gotówce. Docent usiłował wmówić chłopcom, że to spadek po babci—dewizówce. Również co do mieszkania, które miał nadać Kalaputowi, stanowczo oponował. Aktualnie ustalali w komendzie ostatnie kontakty Docenta z Czesterfieldem. Trop wydawał się rzeczywiście wart zachodu; to mogła być forsa, o którą nam chodziło.

Zażyczyłem sobie rozmowy z Docentem. Jego jednego z całej ferajny osobiście nie znałem. Wypłynął już podczas mojego wygnania w Zakopanem; był podobno umiarkowanie zdolny, za to niesłychanie elokwentny. Kiedy wszedł do pokoju, lekko zdziwiłem się. Biorąc pod uwagę, że miał córkę w wieku uprawniającym do edukacji w systemie szkolnictwa wyższego, znakomicie się trzymał.

— Czołem, Docent — powiedział Roman — pan prokurator chce z tobą zamienić parę słów.

Docent przyjrzał mi się z wyraźnym zainteresowaniem.

— Pan jest prokuratorem? — stwierdził z uznaniem. — Nie wygląda pan na tak ponurego faceta.

— Dziękuję ci, Docent — powiedziałem — to ładnie z twojej strony, że mi prawisz komplementy. Niemniej chciałem cię uprzedzić, że jeśli stajesz się ponury, to mając do czynienia właśnie z takimi jak ty.

Docent uśmiechnął się szeroko. Był pogodny i odprężony.

— Panie prokuratorze — zauważył — tak sobie tu zachodzę w głowę, czym by panu poprawić humor i jakoś nic nie mogę wymyśleć.

— Słuchaj, Docent — przerwałem mu — bądź tak uprzejmy i przestań się wygłupiać. Proponuję, żebyśmy się streszczali. O piątnastej jest mecz futbolowy, chciałbym na niego zdążyć.

— Gra pan na stoperze czy na skrzydle? — spytał mrużąc oczy.

Zagryzłem wargi.

— Widzę, Docent, że masz specyficzne poczucie humoru. Wyraźnie się marnujesz. Lepiej by było, żebyś się zatrudnił w tygodniku „Karuzela” w charakterze satyryka, niż zadawał z tymi prymitywami, którzy nie doceniają twojego błyskotliwego intelektu i przy byle okazji zamulają ci dobre interesy. Policzmy: z forszą od Czesterfielda wsypa...

— Nie znam żadnego Czesterfielda — zaprotestował, nie przestając się uprzejmie uśmiechać.

— Takie teksty możesz sprzedawać do serii „Poczytaj mi mamó”, nie nam. Ale mnie. Docent, może cię to zaskoczy. sprawa Anina chwilowo mniej interesuje. Chodzi o mieszkanie redaktora Zwolińskiego, które nadałeś Kalaputowi. Co spodziewałeś się tam znaleźć?

Docent zrobił zdziwioną minę.

— Panie prokuratorze, ja nie wiem, o czym pan mówi. Kalaput jest walet trefl, ja się z nim nie zadaje, a z redaktorem miałem dobre stosunki. Redaktor raz mnie nawet podwiózł do „Gongu” swoim Fiatem, żeśmy miło rozmawiali...

Poczułem, że za moment trafi mnie szlag. Niestety następne dziesięć minut rozmowy z Docentem minęło mniej więcej w ten sam sposób. Drab kpił ze mnie w żywe oczy i nie udało się z niego nic wydobyć.

Po południu pojechałem na Wieniawskiego. Była to mała uliczka na Żoliborzu, mająca w dodatku źle oświetlone numery. Zanim znalazłem adres, którego szukałem, zapadł na dobre zmierzch.

Drzwi otworzyła mi dziewczyna z opadającymi na ramiona długimi włosami.

— Czy pani Anna Siedlecka?

— Tak... a o co chodzi? — popatrzyła niepewnie.

Powiedziałem, że jestem przyjacielem Andrzeja i chciałem z nią porozmawiać. Zauważyłem, że przez jej twarz przemknął pewien cień. Zaprosiła mnie do środka. Mieszkanie było ładne, ale niewielkie; składało się z dwóch pokoi i kuchni. Na toalecie stało zdjęcie trzydziestokilkuletniego mężczyzny w sportowym swetrze. Podeszedłem bliżej. To nie było zdjęcie Andrzeja. Usiedliśmy przy stole.

— Chciałbym, żeby mi pani coś o nim powiedziała. Straciliśmy kontakt od chwili, kiedy wyjechałem z Warszawy. Dawno się znaliście?

Milczała chwilę.

— Pan dobrze znał Andrzeja? — zwróciła pytanie,

— Kiedyś dobrze. Na studiach stanowiliśmy zgraną paczkę. Potem każdy poszedł w swoją stronę. Andrzej zaczął pisać, ja wsiąknęłam w swoją robotę. Nie wiem, czy pani mówił, że był jeszcze Mateusz. Został na uczelni, zrobił doktorat, ale tak naprawdę, to interesowało go tylko jedno: góry. Bez przerwy montował jakieś wyprawy. Byli w Hindukuszu Afgańskim, w Alpach, na Kaukazie. Zginął pięć lat temu podczas ataku na południową ścianę Dhaulagiri. To była prawdziwa tragedia, tuż przed szczytem zeszła na nich lawina. Z czterech ocalał jeden. Słyszała pani o tym?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— Andrzej sporo mi mówił o Mateuszu. Było między nimi chyba coś więcej niż zwykła przyjaźń... jakaś wspólnota celu, bardzo silny związek emocjonalny, którego źródła trzeba szukać właśnie w górach. Andrzej przepadał za górami. Spędzał tam każdą wolną chwilę, co zresztą stwarzało mu... nam poprawiła się — w życiu masę komplikacji.

— Dlaczego?

— Widzi pan..., jeśli pan o to pyta, to znaczy., że pan nie znał dobrze Andrzeja. On był chłopakiem cudownym na jeden dzień, miesiąc, ale po jakimś czasie stawał się trudny do wytrzymania. Bez przerwy za czymś gonił, wywracał do góry nogami cały porządek dnia. Jeśli coś się zajął, nie istniało dla niego nic więcej oprócz tej roboty.

— No, właśnie. Czym się ostatnio zajmował? ?

— Myśli pan, że ja wiem? On mnie traktował jedynie jako uzupełnienie swojego życia, nie wprowadzał w zawodowe sprawy, a ja to akceptowałam. Wiem tylko, że miał jakiś proces z człowiekiem, który go pozwał do sądu w związku z publikacją. To była dość poważna sprawa. Andrzej zbierał materiały na ten temat, ale w redakcji będą wiedzieć lepiej. Ja chciałam mieć w miarę normalny dom... rozmawialiśmy o tym nieraz, mówił, że jeszcze trochę i wszystko jakoś się ułoży, ale potem, gdy wpadało mu kilka wolnych dni, wsiadał w pociąg i jechał w góry. Z nikim i z niczym się wtedy nie liczył. Byłam już tym zmęczona. Nie można całe życie być harcerzem, zwłaszcza, jeśli się żyje nie tylko na własny rachunek. On zresztą mi przyznawał rację, ale tłumaczył, że łażenie po górach jest jak narkotyk. I tak właśnie było ostatnim razem: myślałam, że spędzimy tę wigilię u moich rodziców, a on dwa dni przedtem złapał plecak, powiedział: musisz mnie zrozu-

mieć; jak się nie przelecę te parę dni po górach, będę nieszczęśliwy. Miał wrócić na sylwestra, ale nie dał znaku życia. Nie wiedziałam, co się stało, byłam do reszty rozżalona. Mieliśmy iść razem do znajomych, wszystko już było umówione...

Od kilkunastu sekund słuchałem jej nieuważnie. Myślałem o jednym.

— Pani Anno — wpadłem jej w słowo czy jest pani pewna, że Andrzej, jadąc po raz ostatni w Tatry, zabrał ze sobą plecak?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

—No, oczywiście, że zabrał. Nigdy się z nim w górach nie rozstawał, to był jego ulubiony plecak, dostał go kiedyś od jednej z tych swoich dziewczyn...

—I miał go ze sobą, wyjeżdżając?

— Przecież mówię panu, że miał. Odprowadzałam go na dworzec, w ostatniej chwili upychaliśmy do tego plecaka sweter, którego zapomniał zapakować.

—Czy pani mogłaby opisać ten plecak? —zażądałem.

— Przepraszam, ale nie rozumiem, o co tu chodzi?

—Nic, nic. proszę panią. Ja też jeszcze nie wiem. Ale ten plecak... jak wyglądał? Wzruszyła ramionami.

— Zwykły, turystyczny plecak w czerwonym kolorze. Dwie boczne kieszenie... co tu jeszcze można powiedzieć...?

— Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła wstać. —W którym pokoju mieszkał?

— Mieszkał... —powiedziała gorzko — raczej przebywał. Nie miał pokoju, po prostu spaliśmy razem, od czasu do czasu jedliśmy, oglądaliśmy telewizję. Jeśli w ogóle przyszedł. Pracował wyłącznie w kawalerce. Mały pokój, ślepa kuchnia, wie pan. nowe budownictwo. Pan zna tamto mieszkanie?

— Tak, byłem parę razy u niego, jeszcze nim

Wyjechałem z Warszawy. Skąd pani wiedziała, że z mieszkania nic nie zginęło poza zegarkiem?

— Bo on nic nie miał. To było też częścią jego życiowego programu, jeśli chce pan wiedzieć. Samochód kupił nie dlatego, że inni to robią, tylko był mu po prostu potrzebny w pracy. Stale przecież jeździł. Ale inwestować w coś... to już było nic w jego stylu.

—Pani miała klucze od tamtego mieszkania?

— Nic. Były kiedyś dwie pary. ale jedną dawno zgubił, a drugą miał stale przy sobie, zresztą, ja naprawdę nie miałabym tam czego szukać. Umówiliśmy się. że to jest jego azyl, gdzie ma prawo do bałaganu, i w ogóle wszystkiego, czego sobie zażyczy.

Stanęliśmy w przedpokoju.

— Pan coś wie — powiedziała — ale pan mi nie chce powiedzieć.

Wyszedłem na ulicę. Przechodniów wymiotło, listopadowe chłody dawały w kość. Wsiadłem do taksówki na postoj i rzuciłem adres. Myślałem już o czekającej rano nazajutrz rozmowie z szefem.

Stary długo i nieufnie obracał w ręku moje podanie.

— Dwa dni zastanawiał się — no, dobra, jeśli musisz... Co cię tak nagle przypiliło?

Uśmiechnąłem się.

— Sprawa osobista, szefie. Muszę się niestety urwać z Warszawy. W poniedziałek od ósmej tkwią z powrotem przy biurku.

Popatrzył na mnie z roztargnieniem, podpisał i nagle coś sobie przypomniał.

— Co z Aninem?

— Kończą. Nie ma wątpliwości, czyja to robota. Kalaput do wszystkiego się przyznał. Czesterfield zaprzecza. Dziubas mięknie. Dałem sankcję Docentowi.

— Wiem, już napisał w tej sprawie cztery zażalenia: do Wojewódzkiej, Generalnej. Sądu Najwyższego i Rady Państwa. Powołuje się na konstytucję, która mu nie zabrania trzymać w domu dolarów. A propos, co jest z mieszkaniem tego Zwolińskiego? Docent je rzeczywiście nadal? Podobno interesujesz się tą sprawą. Nie pojmuję zresztą dlaczego, przecież to robi Mokotów.

Odchrząknąłem i wstałem..

—Wyszło przy okazji — wykręciłem się sianem i natychmiast zmieniłem temat. — Kiedy wnosimy akt oskarżenia w sprawie Gaworskiego, tego ze spółdzielni?

— Musisz to zrobić najpóźniej do końca przyszłego tygodnia. Mijają terminy.

— Cześć.

Po wyjściu z gabinetu odetchnąłem. Szef miał węż psa gończego i obawiałem się, że mnie przyciśnie pytaniami, a w tej chwili nie miałem jeszcze w ręku nic, co by mogło uzasadnić moje podejrzenia. Rzuciłem okiem na zegarek — do pociągu było parę godzin.

Redakcja, w której pracował Andrzej, mieściła się w starym, czteropiętrowym budynku, luz obok dworca kolei podmiejskiej. Z automatu telefonicznego zadzwoniłem do naczelnego i zapytałem, czy nie mógłby mi poświęcić paru minut. Zgodził się bez kłopotów, właśnie robili niedzielny dimanche i czekał na szrotki z drukarni.

Ciemnowłosa sekretarka uśmiechnęła się na mój widok. Była na oko w szóstym miesiącu ciąży.

Boże, kto tak skrzywdził tę piękną dziewczynę? — przemknęło mi przez myśl, ale już wyszedł na spotkanie naczelnego, zapraszając do środka. Był to starszy, jowialny grubas, mający opinię doskonałego szefa pisma.

Wyłuszczyłem krótko cel mojej wizyty. Interesowało mnie, czym Andrzej się zajmował ostatnio, przed wypadkiem, i czy może zostawił jakieś nie wykorzystane materiały. Chcąc z góry uprzedzić niewygodne pytania wyjaśniłem, że znaleźliśmy nowe elementy w sprawie włamania do jego mieszkania.

Naczelny zastanowił się.

— Widzi pan — powiedział — ja panu wiele nie pomogę. Zwoliński miał u nas etat samodzielnego reportera. Pani Marto — włączył dyktafon — dajcie mi tu akta redaktora Zwolińskiego... Gdzie są? Aha, w wydawnictwie. No nie. dziękuję... Więc, o czym to ja mówiłem? ... Aha. Jako samodzielny pracownik podlegał bezpośrednio mojemu zastępcy. Pisał, jak pan zapewne wie, reportaże. Dostał parę nagród w różnych konkursach, między innymi w Klubie Publicystów Społeczno—prawnych SDP. Ostatni artykuł, który u nas drukował przed swym wypadkiem, dotyczył chyba... tak. nadużyć w jakiejś spółdzielni w Olsztyńskim. O ile pamiętam, to sprawa jest już osądzona, choć wtedy zbierał do niej materiał na własną rękę. A poza tym...? Może redaktor Amerski coś wie — oni się ze sobą przyjaźnili, to jest nasz drugi samodzielny reporter. Tyle że on w tej chwili siedzi za granicą, będzie dopiero koło szóstego grudnia. Pojechał robić cykl reportaży z Iraku, udało nam się załatwić ten wyjazd. Jeśli pan chce, możemy dokładnie sprawdzić, kiedy wraca.

Ważylem myśli.

— Miał wrogów? — spytałem.

Naczelny szeroko się uśmiechnął.

— A kto z nas ich nie ma? Ale zależy, o czym pan myśli, Zwoliński w tym czasie na przykład wdał się w proces cywilny z takim facetem..., no, jak on się nazywał... Chrobik, o. Chrobik. Kombinator, panie, postawił willę w Bukowinie nie wiadomo za co. wyłudził rentę kombatancką...

— Zaraz, zaraz — zainteresowałem się — mówi pan, że on mieszka w Bukowinie?

— Tak, ale jeśli to pana interesuje, niech pan przejrzy akta. Sprawa po śmierci Zwolińskiego została umorzona i nie wiem, co się tam dalej działo. W każdym razie, o ile dobrze pamiętam, w końcu to ponad rok. rozprawa została odroczone gdzieś do dziesiątego stycznia. Kolega Zwoliński miał na niej przedstawić jakieś dokumenty, które świadczyły o tym, że ten Chrobik nie jest żadnym kombatanem tylko zwykłym oszustem. Ale więcej panu nie powiem. Zwoliński stawał przed sądem sam. Nie chciał adwokata, był przecieć prawnikiem. Sprawę miał w małym palcu. Ciągnęło się to jak wół. chyba dobre półtora roku.

—To wszystko? Naczelny rozłożył ręce.

— Naprawdę jest mi cholernie przykro, że tak niewiele mogę panu pomóc. Mieszkanie po Zwolińskim, niestety. straciliśmy. Jak dostaliśmy ten przydział z RSW... który to był rok.... no. chyba z sześć lat temu. bo akurat tu przyszedłem, daliśmy je Zwolińskiemu, bo się tułał po wynajętych kątach. Nawet biurko sobie kupił, a ponieważ nie miał go gdzie wstawić, składował u nas w magazynie. Szkoda zresztą, że z tym mieszkaniem nie dało się nic zrobić, bo mamy w tej chwili w redakcji trzy super pilne sprawy. Jak ich nie załatwimy, ludzie pouciekają. Tylko co ja mogę, wiadomo, jak dziś jest z mieszkaniami...

Gderając, odprowadził mnie do drzwi. Sekretarka dała mu jakąś notę teleksową. Ucisnął mi rękę i nie odrywając wzroku od tekstu. zniknął znów w gabinecie.

Byłem już w progu, kiedy nagle przyszło mi coś do głowy.

— Pani znała redaktora Zwolińskiego? — zawróciłem.

— Andrzeja? — dziewczyna uśmiechnęła się smutno. — Trudno go było nie znać.

— Czy pani pamięta jego ostatni wyjazd?

—No. pamiętam, tak jak i inne... Mówił, że chce się przelecieć po górach, całą rzecz traktował relakso-wo.

— Planował to dużo wcześniej?

—Czy ja wiem? On nigdy niczego wcześniej nie planował, zawsze wszystko załatwiał w ostatniej chwili. Tak. teraz sobie przypominam. Chyba się zdecydował w ostatniej chwili, bo gdzieś na trzy dni przed świętami wpadł, prosząc, żebym zadzwoniła do kogoś i powiedziała, że, niestety, musi odwołać spotkanie 23 grudnia, bo wyjeżdża. Sam się nie mógł dodzwonić, nie zastał tego człowieka, czy coś takiego i już nic miał czasu.

— Do kogo miała pani dzwonić?

— Proszę pana. skąd ja mogę takie rzeczy pamiętać? Przecież to kupa czasu. Zaraz... to był jakiś notariusz, jego kolega ze szkoły czy ze studiów... wiem, że Andrzej już przedtem z nim się umawiał. Dzwonił z tego aparatu, chodziło chyba o pomoc w jakiejś sprawie, tak przynajmniej zrozumiałam, ale...

Nazwisko, nie pamięta pani nazwiska?

— No, bij, zabij, nie pamiętam. Pan by pamiętał?

— Ja nie pamiętam, ja wiem. Notariusz Zimecki, czy tak?

— Właśnie, tak. Przypomniał mi pan. A skąd pan wie?

— Ba. Stara gwardia nie rdzewieje skonstatowałem z zadowoleniem. Już się spieszyłem. Musiałem jeszcze wpaść do domu po neseser, a do odjazdu pociągu pozostawała równa godzina. Znając lile, wiedziałem, że—w takich sytuacjach, jak to określała, mózg jej się przeze mnie zawiązuje na supełek.

4

Helikopter buczał jednostajnie, przelatując po raz czwarty wzdłuż rozległego urwiska. Gdzieś w dali Biello się cmentarzysko skalne Wantuli. porośnięte rzadkim, zniszczonym lasem. Zieleniły się uroczyska Wielkiej Świstówki. Z lewej strony, podcięte wielkim progim, sterczały cyrki: Litworowy i Mułowy.

Nas interesowało urwisko. Stępień nieustannie lornetował grań, przesuając wzrok po półkach skalnych. Szczególnie uważnie lustrował wszelkie załamania i uskoki. Mieliśmy szczęście; pogoda, jak na te pory roku, była wymarzona. Chyba pierwszy raz od tygodnia wyszło słońce.

Przelecieliśmy w kierunku Koziego Grzbietu, gdzie helikopter musiał nabrać wysokości, po czym znowu zawróciliśmy. Bolały mnie już oczy. Ratownicy tkwili w swych krzesłach, nieruchomo wpatrzni w ścianę.

Znów niczego nie zauważyliśmy. Pilot wykołował nad Cyrkiem Mułowym i w ogłuszającym huku motorów raz jeszcze ruszył wzdłuż urwiska. Porucznik ze zniechęceniem przetaił oczy.

— Cholera — mruknął — chyba nic z tego. To jest szukanie na oślep, nie mamy nawet pewności...

Wpadłem mu ostro w słowo.

— Musi tam być. Nawet biorąc pod uwagę, że to tyle czasu. Przecież...

Przerwał mi tubalny głos jednego z goprowców.

— Chyba mam go! Lewa grzęda z prawej strony, na wysokości środkowego żebra. Widzicie?

Teraz już i my widzieliśmy. Maleńki, czerwony punkcik. To mogło być to, chociaż nie musiało. Stępień wyciągnął rysownik, w którym szkicował położenie punktu. Wreszcie zamknął notes.

— Dobra — powiedział — jutro spróbujemy. Odlecieliśmy w kierunku Przystępu Miętusiego, kierując się na nowotarskie lotnisko.

5

Roman patrzył na mnie niewyraźnie.

— Misiu — odezwał się wreszcie troskliwie — czy ty czasem nie czytujesz za dużo kryminałów? Dawno byłeś na ostatnim urlopie?

— Odczep się — warknąłem — jeśli brak ci elementarnej wyobraźni, to mogę tylko współczuć milicji, w której robisz za przodownika pracy. Czy nie pojmujesz, że ten plecak, to jest dowód?

Roman skrzywił się sceptycznie.

— Raczej resztki plecaka. Trzeba mieć niedobrze w głowie, żeby w to mieszać ratowników. Nie dość, że ściągają ze ściany różnych jajorzy i innych głupoli łamiących kości na nartach, to jeszcze musieli trafić na prokuratora, który ma hopla na punkcie jakiegoś plecaka. No i co ci daje ten plecak? Skąd masz pewność, że to plecak Zwolińskiego, a nie na przykład przodującej tkaczki, która wybrała się na wycieczkę w charakterze turystki?

— Poruczniku Columbo — powiedziałem z wyrzutem — na ogół cenię twoją wysoką inteligencję. Niestety, z niewiadomych dla mnie przyczyn od jakiegoś czasu przeszła w stan uśpienia. Rusz zwojami i wyobraź sobie sytuację: facet' wybrał się w góry z plecakiem — żeby nie było niedomówień: to jest jego plecak, ta dziewczyna już go rozpoznała. Więc lezie... i w trzy dni polem znajdują go na dole kompletnie rozwalonego, a plecak wisi dwieście metrów wyżej zaczepiony o załom skalny. To normalne?

— Mógł się nim zahaczyć, kiedy spadał.

— Czyżby? Jeśli nawet tak było, rzemienie nie utrzymałyby ciężaru ciała, musiałyby pęknąć. A plecak jest cały. pojmujesz? Prawda, że po roku mało co z niego zostało, ale tam deszcz potrafi walić na okrągło od soboty do soboty, więc nie ma sensu wydziwiać, że to nie wygląda jak prezent od wujka ze Składnicy Harcerskiej. Ważne jest, że plecak nie spadł razem z właścicielem. A to znaczy, że w tym wypadku ktoś mu pomógł. Musiał znać miejsce, gdzie ścieżkę od urwiska dzieli parę kroków. Załóżmy, że szedł za Zwolińskim cały czas od schroniska na Ornaku. Kiedy byli w tamtym miejscu ogłuszył go i rzucił w przepaść. Następnie przeszukał plecak, a potem cisnął go w ślad za ciałem.

Roman gapił się na mnie z niezbyt mądrą miną.

— Chcesz mi wmówić, że Kalaput załatwił go, żeby tego... mieszkanie spokojnie... — wykonał nieokreślony ruch ręką.

Zdenerwowałem się.

— Romciu, coś z tobą niedobrze. Ty się nadajesz na stójkowego pod ambasadę, a nie na funkcjonariusza służby śledczej. Jeszcze nie zwariowałem, żeby Kalaputa wysłać na Czerwone Wierchy. Jedyne turystyczne wycieczki, jakie ten facet uprawia, kończą się w barze „Pod Koziółkiem”.

— Więc co? — wymamrotał Roman, po czym dodał: — O Jezu. albo ty jesteś genialny albo kompletny matoł.

— Chłopcze — powiedziałem — koniec żartów, zaczyna się poważna sprawa. Kłós wiedział, że Andrzej pojechał do Zakopanego, pilnował go, lazył za nim, wałnął w łeb i zrzucił w urwisko. Widocznie nie znalazł tego, czego szukał. Zabrał z plecaka dokumenty i klucze do mieszkania i już następnego dnia. a może później, w każdym razie przed znalezieniem ciała, dokładnie splądrował kawalerkę Zwolińskiego. Zabrał coś, o czym jeszcze nie wiemy. Dopiero po nim do mieszkania włamał się Kalapul, któremu nadał robotę Docent. Spodziewał się, że Zwoliński ma jakąś gotówkę. Ryzyko było żadne, bo Docent, będący sąsiadem Zwolińskiego, wiedział, że Andrzej mieszka sam i trzeba było tylko się pośpieszyć, zanim przyjedzie ktoś z rodziny. Docent sam nie chciał tego robić, bo ma wyrok w zawieszeniu. Wiedział, że w razie czego milicja nie zapomni o sprawdzeniu go. I tak się rzeczywiście stało, ale ponieważ był na to przygotowany, mieszkanie zastaliście czyste. Nie spodziewał się jednego: że teraz, po tylu miesiącach, cała sprawa odżyje i spadnie mu znowu na łeb, a co gorsza również jego przyjaciółce. Przy okazji trafiliśmy na forszę i dolary ze świeżego „skoku” w Aninie, które Docentowi dał na przechowanie Czesterfield. Pozostaje pytanie, kto zabił Andrzeja i czego szukał u niego w domu. . Roman bębnił palcami po stole.

— Są tu pewne elementy do rozważenia — przyznał — ale... Uważam, że powinieneś sporządzić z tego notatkę i dać dzielnicy, niech się tym zajmą.

Zamknąłem z hukiem dyplomatkę.

— Dzięki ci, poruczniku, za tak światłą radę, sam bym na to nie wpadł. Ta sprawa mnie zbyt interesuje, żebym ją oddał komuś, kto jej nie zna. Nic mogę jej robić służbowo, bo to nic mój rejon; w porządku. Rejonizacja obowiązuje dziś od przedszkola do przydziału miejsca w domu rencistów. Ale w takim razie doprowadzę rzecz do końca w ramach swoich, nazwijmy to tak, prywatnych zainteresowań. Chciałbym tylko, żebyś mi pomógł w paru kwestiach. —

Roman milczał z zakłopotaniem.

— A regulamin? — mruknął wreszcie. — Musiałbym zawiadomić szefów. Ty też to powinieneś zrobić.

Stanąłem nad nim i mocno potrząsałem za ramię.

— Stary — powiedziałem — czy ty nie rozumiesz, że to jest dla mnie sprawa osobista, którą muszę doprowadzić do końca?

Dom Janusza odszukałem bez trudu. Był piękną, murowaną willą, wpisaną w półkole, jakie zataczała ulica Okrężna, ciągnąca się wzdłuż zarastającej trzciną fosy. Ledwie zdążyłem nacisnąć dzwonek u furtki, Janusz pomachał mi z ganku. Nic widziałem go ładne parę lat i muszę przyznać, że, jak na trzydzieści pięć wiosen, które obaj dźwigaliśmy na karku, wygląda! znacznie lepiej ode mnie. Kiedy zadzwoniłem do niego poprzedniego dnia, najwyraźniej ucieszył się. Dziś był trochę zaaferowany. Okazało się, że matka Krystyny zachorowała i dziewczyna musiała w związku z tym pojechać do Płońska. W ten sposób dom i dwójka dzieci zostały na głowic Janusza, czego, jak łatwo się było domyśleć, zdecydowanie nie lubił.

Opowiadał mi o tym, a ja szedłem wąskim chodniczkiem między ogołoconymi z liści krzakami i zastanawiałem się, ile taka chałupa może być warta. Pewnie z milion albo i więcej. Nie lubiłem nikomu zazdrościć, ale pomyślałem, jak różnie się ludziom w życiu układa. Ja, choćbym zosta! za dwadzieścia lat prokuratorem generalnym, taki domek będę mógł dziecku tylko układać z klocków. Mocny start to jednak wiele. Stary Janusza w czasach, kiedy wkuwaliśmy wspólnie kpk i ustawy rolne, był dyrektorem dużego zakładu przemysłowego. Już wtedy mieszkali w willi na Sadach Żoliborskich. Janusz ożenił się jako pierwszy z nas. Kryska, po tym, kiedy oblała prawo pracy, utknęła na trzecim roku i wzięła urlop dziekański. Na studia już nic wróciła; nie było jej to zresztą potrzebne, bo rodzice przed przeniesieniem się do Warszawy sprzedali kawał ziemi w Poznańskim. Mieli więc oboje z Januszem od czego zaczynać. Nie to, co ja, albo Mateusz — bida z nędzą.

Przysiedliśmy i Janusz wyciągnął koniak. Stuknęliśmy się kieliszkami.

— Pif, paf.

— Lu.

— Zostało nas dwóch. Najpierw Mateusz, potem Andrzej. Obaj w górach.

Ściągnęła mu się twarz.

— Wiesz — powiedział — a ja rzuciłem góry. Brzuch mi rośnie, sam się na siebie złoszczę, ale od czasu lej lawiny na Dhaulagiri, która załatwiła Mateusza, zacząłem mieć kompleks gór... Czy ty wiesz, że siedem lat temu też o mały włos nie przejechałem się na Kieżmarskim? Taka wprawka, kiedyś to robiłem z Mateuszem w dwie godziny. A tu — olaboga. Starzeję się. Niedobrze. Ty, co, nadal na szlaku?

— Ja? Trochę łażę jeszcze, ale przyznam ci się, że od czasu, kiedy pojechałem pracować na Podhale, jakoś mi to spowszedniało. Głupia sprawa.

Janusz przyglądał mi się z zaciekawieniem.

— Pracowałeś w prokuraturze w Zakopanem? Nie wiedziałem o tym.

Znowu napelniliśmy kieliszki.

— Bęc. Tak się, bracie, ułożyło. Po rozwodzie z Grażyną...

— Rozwiodłeś się z Grażyną? — był coraz bardziej zdumiony. — Jezu, patrz, że ja nic nie wiem. Kompletnie się zagrzebałem w tych papierach, a tu tyle u kumpli różnych rzeczy...

— Ale Andrzej tak do końca nie pozwolił ci się zagrzebać — zaoponowałem.

— To znaczy? — zapytał, ścisząc radio.

— No, wiem, że kontaktowaliście się niedługo przed tym wypadkiem. Ja wtedy siedziałem już dwa lata na Krupówkach i byłem odcięty od wielkiego świata. Potem ta historia ... Czy ty wiesz, że trafiła właśnie na mnie?

Patrzył na mnie zaskoczony.

— Nie wiedziałem... — bąknął — właściwie od śmierci Mateusza nie widzieliśmy się... Przepraszam, ale po cholere cię zaniósł do Zakopanego?

— Zostawiłem Grażynie mieszkanie, miałem małego kaca osobistego, więc zdecydowałem się na wyjazd. Zameldowanie stałe miałem w Warszawie, a tam tylko... w delegacji. Rozumiesz, delegacja na osiemset dni życia. Przydało mi się, wcale nie żałuję... A co u ciebie?

— Nihil novi. Od czasu, jak zostałem notariuszem, pierniczeję wśród papierzyśk. Ale lubię tę robotę.

— Zawsze byłeś uporządkowany.

— No, byłem, byłem. A ty myślisz, że w aktach jest taki porządek? Stale czegoś szukamy, coś tam nam nic pasuje. Bywają dni, że w ogóle mnie nic widać wśród repertoriów. No, to hop.

— Lu—bu—du.

— Andrzej był u mnie chyba gdzieś tak na jesieni zeszłego roku, nie pamiętam już dokładnie. Wpadł jak zwykle niespodziewanie...

— Czego chciał?

— Procesował się o artykuł. Jakiś taki dziwny tytuł... czekaj: „Zbyt wiele jak na jednego faceta”...

— Człowieka.

— Tak, „Zbyt wiele jak na jednego człowieka”. Tam chodziło o to, że facet po pierwsze wyłudził kombatancką rentę, nie mając do tego uprawnień, a po drugie była jakaś niejasna historia z parcelami. W tej właśnie sprawie Andrzej mnie szczegółowo wybadał. Przyznał, że nie jest pod tym względem zbyt biegły, a słowo się rzekło, czy raczej — napisało i wypadło rzecz udowodnić. Gość, proszę ciebie, nabył parcelę za 25 tysięcy złotych...

— Ile była warta?

— Sto, u może i więcej. Tak myślę, bo jej nie widziałem. Andrzej mi pokazywał zdjęcie. Tłumaczyłem mu, że mogli tę działkę zaoferować jako przecenioną. Trzeba by było dokładnie przypatrzeć się, kto i dlaczego taką decyzję wydał. Podszkoliłem go z przepisów, pokazałem, jak się zabrać do czegoś, co się nazywa księgą wieczystą i tyle go widziałem.

— Dzwonił jeszcze do ciebie?

— Nie, chyba nie.

— Sekretarka w redakcji mówiła, że tuż przed Bożym Narodzeniem byliście umówieni, ale on wyjechał i nie zdążył cię zawiadomić. Prosił, żeby odwołała to spotkanie.

— A tak, teraz sobie przypominam. Chyba chodziło o to, że coś znalazł w Krakowie i znowu chciał się mnie poradzić.

— Co znalazł?

— O ile zrozumiałem, to ten facet. z którym ciągnął przez rok proces, miał drugi dom, chyba na inne nazwisko, nie wiem. naprawdę nie wiem. Musisz poszukać w aktach. A co cię w tej sprawie ... — urwał i popatrzył pytająco.

— Jeszcze nie wiem — powiedziałem — ale trzeba by się przyjrzeć temu facetowi, Chrobikowi znaczy. Janusz spojrział na mnie uważnie.

— Ejże, co jest? Masz coś? Wzruszyłem ramionami.

— Słyszałeś o tym. że mieszkanie Andrzeja obrobili?

— Kiedy? Nic mi nic mówił.

— Nie mógł ci powiedzieć, bo to było już po jego śmierci. Ktoś tam czegoś szukał.

Janusz nie ukrywał zdumienia. Nagle popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Słuchaj — rzekł ostrożnie — czy tobie przypadkiem nie odbija zawodowa szajba? U mnie na mógownicy odciskają się kopie aktów notarialnych, to mogę zrozumieć, ale ty, człowiek dynamiczny, pełen inwencji...

— Nie wygłupiaj się — odstawiłem spokojnie kieliszek — sprawa jest prawdopodobnie znacznie poważniejsza, niż nam się obu wydaje. Przyszedłem, bo myślałem, że może ci mówił więcej o sobie. On coś znalazł, rozumiesz? I nie zdążył już tego ujawnić. Muszę wiedzieć, co to było. Szkoda, że postawił—na samotność, z nikim się nie dzielił swoim życiem. Bo koniec końców pozostały po nim zaledwie nikle siady. I dlatego trudno, tak cholernie trudno coś z nich wyczytać.

7

Zamknąłem ostatnią kartę akt. Miałem za sobą trzy dni lektury pękatych tomów, od których spuchła mi głowa. Pani Kasia z sekretariatu, która na moją prośbę wydobyła z archiwum całą dokumentację procesu Chrobika przeciw Andrzejowi Zwolińskiemu już od wczoraj zerkiała na mnie współczująco. A ja czytałem, coraz bardziej nasiąkając wątpliwościami. I Chrobik, którego przez cały czas wspierało dwóch adwokatów, i Andrzej, nie oszczędzali się w tym procesie. Ciskali na stół sędziowski coraz to cięższe argumenty, powoływali nowych świadków. Składali też wnioski— o dołączenie akt innych spraw, wiążących się, ich zdaniem, z toczonym sporem, a także rozmaitych dokumentów. Po przekopaniu tych kilkuset stron, które zamknięto postanowieniem sądu umarzającym sprawę z powodu śmierci pozwanego, nic byłem ani na jotę mądrzejszy.

Sytuacja przypominała pat w szachach, Andrzej po mistrzowsku przeegzaminował przeciwnika z życiorysu. Na podstawie wielu oświadczeń, składanych przez Chrobika przy różnych okazjach udowodnił, że gdyby wszystko, co Chrobik napisał w tych oświadczeniach na temat swojej okupacyjnej przeszłości stanowiło prawdę — nie starczyłoby na to wojny. Argumenty były nic do zbiccia: w jednym dokumencie facet podawał, że w czterdziestym drugim został aresztowany przez gestapo, a następnie zesłany do Oświęcimia, skąd uciekł, z innego oświadczenia wynikało, że w tym czasie walczył w szeregach Armii Krajowej na Wi-

leńszczyźnie. Daty różnych obozów mieszały się i zazębiały ze sobą, dokumenty okazywały się niewiarygodne, gdyż najczęściej powoływały na ludzi już nieżyjących, co Andrzej skrupulatnie odnotował.

Historia z parcelą wyglądała niestety gorzej. Chrobik przedstawił pismo, w którym można było przeczytać, że otrzymana przez niego działka została uznana za niepełnowartościową. Przy jej sprzedaży wzięto również pod uwagę bardzo złą sytuację materialną Chrobika i jego kombatanckie zasługi, na które się w urzędzie powoływał, załączając do swego podania rozmaite zaświadczenia. Ich to właśnie prawdziwość podważał w procesie dziennikarz. W ogóle sprawa z punktu widzenia procesowego była potwornie zagnatwana i nie zazdrościłem sądowi, który miał ją rozstrzygać. Ale znalazłem w tych aktach coś, co mnie szczególnie zainteresowało. Z wystawionych przez zakopiański PTTK w latach sześćdziesiątych zaświadczeń wynikało, że Chrobik był swego czasu przewodnikiem górskim, mającym prawo prowadzenia wycieczek. Na jednym z tych zaświadczeń widniała adnotacja o przyznaniu mu „Dużej Srebrnej Oznaki GOT”. Kiedy ją zdobył, kończył czterdzieści parę lat. Musiał więc mieć jeszcze niezłą krzepę...

I znowu tłukłem się w ciemną, grudniową noc pociągiem na południe. W Zakopanem rozpoczął się właśnie sezon. Ruszyła po remoncie kolejka na Kasprowy. Krupówkami płynęła gawiedź.

W prokuraturze przy Kościuszki Tadek przywitał mnie z otwartymi rękami.

— Roboty od diabła i trochę — poinformował. — Jakaś góralska bójka, przez pomyłkę załatwili nie tego faceta, o którego im chodziło. Wypadek pod Bukowiną, z pięciu osób wyszły dwie. „Fiat” rozłożony na atomy. Poza tym okradli w „Giewoncie” dwóch dewizowców, a dziś w nocy próba włamania do „Pewexu”. To tylko z ostatniego tygodnia. A ty, co, byczysz się?

Wyjaśniłem mu, czego tym razem szukam. Smętnie pokiwał głową.

— Ty masz nos, jak stary policjant. Ten twój Chrobik siedzi od trzech miesięcy. Właśnie będziemy występowali do wojewódzkiej o przedłużenie aresztu, bo śledztwo jest ciągle w, toku. Dokumenty kombatanckie faktycznie są lipne. Na ich podstawie wyłudził rentę, uzbierała się z tego kupa forsy. Poza tym handlował dewizami z Jugosłowianami i Austriakami, mamy go w kloszu razem z mamoną. Tak że ten twój Zwoliński, gdyby żył, wygrałby proces w cuglach.

— Gdyby żył — powiedziałem — ale nie żyje, a ja chciałbym wiedzieć, kto mu w tym pomógł. Oglądałem dom Chrobika w Bukowinie i ten park naokoło. Jeśli to jest niepełnowartościowa działka, myślę, że nie doceniliście wartości urzędnika, który taką opinię wydał.

— Już go nie ma, zresztą, z ich punktu widzenia Chrobik miał papiery w porządku. Ale co cię właściwie konkretnie interesuje?

— Konkretnie interesuje mnie, co Chrobik robił dwudziestego siódmego grudnia ubiegłego roku? Czy przypadkiem nie wybrał się na górską wycieczkę?

Tadeusz zamrugał oczami.

— Misiu — powiedział z przyganą w głosie — czy czasem nie przesadzasz? A ty na przykład pamiętasz, co robiłeś rok temu dwudziestego siódmego grudnia? Bo ja za cholere.

— A ja owszem — odparłem — miałem za ciebie dyżur przy telefonie, bo pojechałeś do starych. Pytam krótko: ściągniesz mi go na pięć minut?

Tadeusz wykręcił numer telefonu.

— Co?... Aha, dobra. Przykro mi stary, ale dziś nie da rady. On siedzi w Nowym Targu, gdzie badają go lekarze specjaliści. Podał siedemdziesiąt siedem i pół choroby, na które systematycznie zapada. Ale jutro ci to chętnie załatwię.

Spojrzałem w kalendarzyk.

Muszę wracać do Warszawy —powiedziałem. — Jeśli nie będzie pamiętał, a mogę się założyć, że tak ci właśnie oświadczy, pytajcie żonę, córkę, wszystkich, kogo się da. Jeśli nie ustalicie, co wtedy robił, znaczy, że można wam przekazać sprawę.

— Sprawę czego? — uniósł do góry brwi Tadeusz.

— Upozorowania wypadku Zwolińskiego poprzez ogłuszenie go i zepchnięcie w przepaść. Chrobik chodzi po górach jak zegarek, prowadził kiedyś tymi szlakami dziesiątki wycieczek. Był aż nadto zainteresowany, żeby ten proces nie trwał dłużej. Gdyby wycofał pozew, wyglądałoby to na 'przyznanie się do winy. Poza tym zdawał sobie sprawę, że taki manewr nic by nie dał. Andrzej był twardym zawodnikiem. Wycofanie pozwu przez Chrobika jeszcze bardziej by go zdopingowało do deptania mu po piętach. Na rozprawie dziesiątego stycznia miał wyciągnąć coś, co Chrobika mogło pogrzyżyć. Może już macie ten fakt w rękę, nie wiedząc nawet o tym, może nie. W każdym razie Chrobik wówczas nie mógł dopuścić do jego ujawnienia. Dlatego musicie sprawdzić, dokąd wybrał się cztery dni przed sylwestrem.

8

Pociąg włókł się jak nieszczęście, coraz to stając pod semaforami. Nie mogłem spać. Kiedy przyjechaliśmy wreszcie na Centralny, było już po dziewiątej. Ela urzędowała na uczelni. Zostawiła mi kartkę, żebym posprzątał w pokoju i kupił coś do jedzenia.

Zrobiłem sobie kąpiel. Dopiero teraz poczułem zmęczenie. Nastawiłem budzik na trzecią i zapadłem w łóżko.

Przeciągły dzwonek długo nie mógł postawić mnie na nogi. Wyciągając na oślep rękę, starałem się wyłączyć terkoczący „traktor”. Ale dzwonek powtarzał się, krótkimi urywanymi sygnałami. Zrozumiałem: to dzwonił telefon. Półprzytomny zerknąłem na zegarek: była za kwadrans trzecia. Mój drugi dzień nic wydarzonego urlopu. Za trzy godziny muszę być na lotnisku. Telefon ciągle dzwonił. Podniosłem słuchawkę.

— Łączę Zakopane — usłyszałem szumy i trzaski, spoza których rozpoznałem głos Tadka. Po chwili mówi! już głośno i wyraźnie:

— Mam dla ciebie dwie wiadomości. Pierwsza: Chrobik ma dom w Krakowie na Podgórzu na inne nazwisko. Ustalili to właśnie przedwczoraj dzięki anonimowi, który wpłynął do milicji. Uchodził dotąd za bardzo mocnego, ale jego aresztowanie rozplatało języki. Sprawa krakowska j:st ważna dlatego, że tam jeszcze żyją ludzie, którzy go pamiętają z czasów okupacji, kiedy już administrował tą posesją. To jest dom po jakichś Żydach, którzy wyjechali tuż przed wybuchem wojny, sprzedając mu całą nieruchomość. Sąsiedzi dają głowę, że przez całą wojnę Chrobik (dla nich Chwaściński) nie ruszał się z tego domu. Na partyzantkę,

aresztowania przez gestapo, obozy i bohaterskie ucieczki nie miał raczej czasu. I to by było jedno. Co do drugiego, to, niestety, przykro mi, ale spudłowałeś. Chrobik od 10 grudnia ubiegłego roku do czwartego stycznia leżał • w szpitalu w Zakopanem. Operacja wyrostka robaczkowego z powikłaniami. Sprawdzaliśmy to dokładnie: wypisali go ze szpitala czwartego rano. Był tam cały czas. Przykro mi, stary.

Za oknem lało. Miałem jeszcze do zrobienia te cholerne zakupy, a wołałem nie natknąć się na Elkę, której musiałem w tej chwili zbyt wiele tłumaczyć. Zacząłem wciągać sweter.

Część III W IMIENIU PRAWA

1

W hallu Międzynarodowego Dworca Lotniczego na Okęciu falował tłum. Zapowiadali odloty samolotów do Moskwy, Aten i Pragi. Od dłuższe—go czasu wpatrywałem się w monitor z godzinami przylotów, ale samolotu z Bagdadu nadal nic było, mimo że upłynęło już piętnaście minut od chwili, gdy powinien wylądować.

Myślałem. Koncepcja z Chrobikiem okazała się całkowitym niewypałem. Przegrałem na całej linii; to, czego byłem pewny, rozleciało się w mgnieniu oka, jak składany regał z Pułtuska, który niedawno kupiłem. Nic pozostało mi w ręku nic. Jediną szansę stanowił Amerski, który dziś właśnie wracał z Bagdadu, gdzie analizował warunki pracy polskich załóg budujących cukrownie w Iraku. Reportaże Amerskiego były równie budujące, jak nasze eksportowe osiągnięcia. Dwa z nich, nadesłane do redakcji drogą teleksową, zdażyłem przeczytać.

Zapadł już zmierzch. Wszedłem na taras i obserwowałem start wielkiego „Ha”, lecącego do Moskwy. Kołował długo po pasie, potem znieruchomiał w narastającym huku, aż wreszcie ruszył. Nabierając szybkości płynnie, niemal niedostrzegalnie oderwał się od ziemi niczym wielki, spasiony żuk.

Gdzieś z prawej strony, błyskając światłami, podchodził do lądowania samolot. Przez megafony zapowiedzieli opóźniony przylot z Bagdadu. Ku kołującej w kierunku budynku dworca sylwecie niespiesznie ruszył autobus „LOT—u”.

Amerskiego poznałem od razu. Jeszcze w redakcji przyjrzałem się dokładnie jego zdjęciu, na którym odbierał nagrodę za swój najnowszy tom reportaży. Wysoki, barczysty, opalony na brąz, siał teraz przy wyjściu z komory' celnej, przekrzykując się z jakimś pędrakiem, pewnie synem. Towarzyszyła im młoda kobieta, którą już wcześniej widziałem na tarasie. Poczujęm się jak intruz, który za chwilę wtargnie w cudze życie w najmniej odpowiednim momencie.

Dogoniłem ich w drzwiach. Zapytałem, czy moglibyśmy chwilę porozmawiać. Zobaczyłem okrągłe ze zdziwienia oczy całej trójki i wyciągnąłem z kieszeni legitymację. Zdziwienie momentalnie zamieniło się w przestrah kobiety i kompletne osłupienie Amerskiego. Błyskawicznie zrozumiałem swój błąd. Musiałem być bardzo zmęczony, jeśli strzelałem takie gafy.

— Przepraszam — powiedziałem — nic się nie stało. Powiniennem od razu powiedzieć, że jestem przyjacielem Andrzeja Zwolińskiego i czekam na pana przyjazd wyłącznie z tego powodu. Jeszcze raz przepraszam.

Postawił torbę podróżną i przypatrywał mi się zyczliwie.

— No, wie pan — zaśmiał się — pan lubi ostre wejścia. Człowiek wraca po dwóch tygodniach na łono ojczyzny, a tu na niego czeka prokurator!

Amerski mieszkał niedaleko lotniska, na osiedlu przy Żwirki i Wigury. Ledwo przyjechaliśmy, wyłuszczyłem mu, o co chodzi. W paru słowach scharakteryzowałem sytuację, nie mówiąc nic na temat swoich podejrzeń co do okoliczności wypadku Andrzeja. Zaakcentowałem natomiast sprawę włamania, która ruszyła z miejsca. W trakcie, jak mówiłem, Amerski spoważniał. Potarł okolony brodą policzek.

— Pyta pan, czym się ostatnio zajmował? Wie pan, była taka sprawa. Myśmy rzeczywiście się przyjaźnili, parę razy dosiadaliśmy — każdy z, osobna — wyjątkowo dzikiego konia. On, proszę pana, tak gdzieś na jesieni trafił grubszą aferę. Szykował ją dla „Expressu Reporterów”, wie pan, to są te zeszyty książkowe, ukazują się co miesiąc.; Pewnie dlatego w redakcji nic nie mówił.

Poza tym to były dopiero pierwsze ślady, no, czy ja wiem... Coś tam w każdym razie złapał i szedł do przodu za ciosem jak stary bokser. Ale to jest wszystko, co wiem, bo piętnastego... nie, szesnastego listopada wyjechałem do Kanady i wróciłem dopiero chyba dwunastego stycznia...—Asiu, kiedy ja wróciłem z Ottawy? — zawołał w kierunku kuchni.

— Nieważne — przerwałem mu — w każdym razie rozumiem, że nie było pana w czasie, kiedy to wszystko się rozgrywało, czy tak?

— No, tak. O śmierci Andrzeja dowiedziałem się dopiero w redakcji, trudno mi było w to uwierzyć. Czytałem nekrolog w gazecie, pisał pewnie sekretarz, bo jak zwykle niestylistycznie. Ale... w czym jeszcze mógłbym pomóc?

— W tym — powiedziałem łagodnie — że nadal nie wiem, jaka sprawa interesowała Andrzeja.

Palnął się w czoło.

— Ach, prawda, co za dureń ze mnie. On, proszę pana, trafił na gang mieszkaniowy. Naprowadził go na to jakiś facet...

— Jaki gang i jaki facet?

— Tego nie wiem. W chwili, kiedy wyjeżdżałem, sprawa była jeszcze w powijakach. Na pewno podczas tych paru tygodni wiele zaszło. Gdybym był na miejscu, wiedziałbym o wiele więcej, bo myśmy z Andrzejem stale potrzebowali jakiegoś obiegu myśli, to nam pomagało w robocie: Jedna rzecz, która mi się przypomina, to że podwoziłem tam Andrzeja. Znaczący, do tego faceta, który mu nadał sprawę. Andrzeja Fiat był wtedy w naprawie, a on śpieszył się na umówioną godzinę.

— Jaki adres? — zapytałem. —Gdzie to było?

— Pamiętam ulicę: Jasielskiego, numeru rzecz jasna nie. Ale chyba bym trafił.

Wstałem.

— Czy mógłby pan tam ze mną pojechać? To bardzo ważne. Popatrzył na mnie zdeorientowany.

— Dziś, teraz? Wie pan...

— Wiem — przerwałem mu — wiem, że dopiero pan wrócił i że jest pan zmęczony. Ale to jest naprawdę ważne.

Nie wahał się dłużej. Widząc zdziwione spojrzenie żony, która właśnie zaglądała do pokoju z tacą, rzucił, że wróci najdalej za godzinę. Wyszliśmy.

Po dwudziestu minutach dotarliśmy na ciemną uliczkę, która nosiła nazwę Jasielskiego. Wyznaczał ją szereg bliźniaczo do siebie podobnych domków z ogródkami, na oko jeszcze przedwojennych. Amerski prowadził teraz wolno wóz, patrząc uważnie na boki. Tak dojechaliśmy do miejsca, w którym ulica kończyła się ślepo.

— Do dupy z tym wszystkim — skwitował, rozglądając się dookoła. — Wtedy było widno. Pan zaczeka, wycofamy.

Teraz jechaliśmy w odwrotnym kierunku. Niektórych numerów domów nie oświetlono, co jeszcze bardziej utrudniało orientację. Na skrzyżowaniu z jakąś inną uliczką, Amerski ożywił się i zatrzymał wóz.

— To chyba tutaj — powiedział, rozglądając się. — Tak... już pamiętam. To ten dom po prawej, w głębi ogrodu. Tu go wysadziłem i widziałem, jak wchodził przez furtkę. Co pan dalej proponuje?

— Dalej trzeba odszukać tego faceta, z którym on rozmawiał — mruknąłem — w tym domu są pewnie trzy, cztery lokale. Pytanie, w którym z nich był umówiony...

Amerski spojrzał na mnie i w lot zrozumiał.

— Chce panm żebym to ustalił? — bardziej stwierdził niż spytał i — zgasił motor.

Kiwnąłem głową.

— Będzie panu o wiele zręczniej. Zastanówmy się tylko, jak to załatwić.

Amerski już był jedną nogą na zewnątrz.

— Po prostu powiem, że jestem dziennikarzem. Będę po kolei pytał, kto z nich pisał do nas przed rokiem list. bo mam dla niego ważne informacje.

— Dobra — zgodziłem się bez zastrzeżeń. Wrócił po kilku minutach.

— Ciekawe — zakomunikował. — Tam wcale nie ma żadnych oddzielnych mieszkań. Na drzwiach figuruje tylko jedno nazwisko: Stanisław Chamuczyński. Kiedy zadzwoniłem, wyszedł jakiś Murzyn i z trudem wytłumaczył mi, że Chamuczyński tu nie mieszka, a oni dom odnajmują. To było chyba jedyne zdanie, jakiego się nauczył po polsku, bo strasznie się przy nim męczył. Ciekawe.

Zapalił motor i ruszyliśmy wolno.

— Rzeczywiście ciekawe — powiedziałem. W tym momencie zdecydowałem się.

— Panie Maćku — spojrzałem uważnie na niego — czy mogę liczyć na pana pomoc w tej sprawie?

Odpowiedział bez wahania.

— Jasne. Ale ciągle nic wiem, w jakiej sprawie.

— Spróbuję pana zorientować, co dotychczas udało mi się ustalić. Tamtej nocy, w grudniu, kiedy mnie wyciągnęli z sylwestra... ale może zacznę od samego początku...

Lektura akt posesji przy ul. Jasielskiego 8, z którymi zapoznałem się następnego dnia w dzielnicowym urzędzie, potwierdziła moje przypuszczenia; dom był wyłączony spod publicznej gospodarki lokalami. Z dokumentów wynikało, że jego właścicielem był niejaki Marian Gajsztler, który w 1939 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie ostatnio mieszkał. Po wojnie budynek, w sporej części zniszczony, zasiedlili lokatorzy na mocy przyznanych im nakazów kwaterunkowych. Własnymi rękami odbudowali, co się dało. W domu wydzielono trzy odrębne lokale o łącznej powierzchni stu dwudziestu metrów kwadratowych.

Z dalszych dokumentów można się było dowiedzieć, że w 1974 r. doszło do zawarcia umowy między Marianem Gajsztlerem, działającym przez swojego pełnomocnika w Polsce, a Stanisławem Chamuczyńskim, dotychczas zamieszkałym przy ul. Ogrodowej 119 m. 5 w Warszawie. Na mocy umowy Gajsztler sprzedał Chamuczyńskiemu dom wraz z lokatorami za sumę 450 tysięcy złotych, co zostało potwierdzone opisem aktu notarialnego. Wraz z nabyciem domu Chamuczyński stał się wieczystym użytkownikiem działki, na której stał dom. Potem już następowała ostra wymiana korespondencji między urzędem, lokatorami i Chamuczyńskim na tle podjętych przez niego działań. Lokatorzy podnosili w swoich pismach fakt, że w latach powojennych odbudowali dom, jeden z nich zaś, Wiesław Małecki, twierdził, iż właściciel, ów Gajsztler, podczas swojego pobytu w Polsce przed kilku laty zawarł z nim ustną umowę, że, jeśli będzie dom sprzedawał, Małecki skorzysta z prawa pierwokupu. Wszyscy lokatorzy stanowczo protestowali przeciwko zapowiedzianej przez nowego właściciela konieczności wyniesienia się z ul. Jasielskiego 3. Z kolei Chamuczyński powoływał się na art. 25 prawa lokalowego, który —jako właścicielowi— dawał mu prawo do zamieszkania we własnym domu. W tym celu trzeba było opróżnić jeden z lokali. Z pism wynikało, że ta pierwsza operacja przebiegła stosunkowo bezboleśnie, ponieważ mieszkający na parterze artysta—plastyk zgodził się na zaproponowany mu lokal zamienny przy ulicy Ogrodowej, w którym dotychczas mieszkał Chamuczyński. Chamuczyński w krótkim terminie sprowadził się do mieszkania na parterze, opróżnionego przez plastyka i z kolei wystąpił o wykwaterowanie Marii .Pieńskiej, która wraz z synem zajmowała jeden z lokali na pierwszym piętrze. Ponieważ Pieńska nic chciała zgodzić się na żaden z lokali zamiennych, proponowanych jej przez Chamuczyńskiego (wynotowałem skrupulatnie wszystkie cztery adresy figurujące w dokumentach, tym bardziej że nigdzie nic sprecyzowano, na jakiej podstawie Chamuczyński je oferował), właściciel wystąpił do urzędu o przeprowadzenie eksmisji. Z kolejnej adnotacji wynikało, że w styczniu 1975 r. Pieńska została wraz z synem przekwaterowana do lokalu zamiennego przy ul. Akacyjowej 7 m. 1. Pozostał więc jeszcze wspomniany Wiesław Małecki, który, jak można się było zorientować z akt. bardzo energicznie stawiał czoło perspektywie opuszczenia domu, pisząc w tej sprawie skargi do wszystkich możliwych władz. Ostatecznie organ lokalowy dokonał eksmisji Małeckiego do wskazanego przez Chamuczyńskiego mieszkania przy ul. Koperskiego 17. Dotychczas, jak stwierdzał Chamuczyński w jednym z pism, mieszkała tam jego siostra. Eksmisja nastąpiła — tę datę podkreśliłem w notatniku — czwartego stycznia 1976 r. Tak więc Małecki bronił się przed nią ponad rok. Ostatnia informacja była dla mnie szczególnie ważna, gdyż oznaczała, że człowiekiem, który zainteresował Andrzeja tą sprawą, musiał być właśnie Małecki. Tylko on bowiem — oprócz właściciela, który na pewno żadną rozmową z dziennikarzem nie był zainteresowany zamieszkiwał jeszcze w listopadzie 75 r. przy ul. Jasielskiego 8.

Z akt ewidencyjnych, które mi udostępniono w rejonie meldunkowym wynikało, że w domu przy ul. Wasielskiego 8 przebywają obecnie Stanisław Chamuczyński, wymeldowany w styczniu 1975 r. z mieszkania przy ul. Ogrodowej 119 m. 5 oraz jego siostra, Ryszarda Chamuczyńska, wymeldowana w styczniu 1976 r. z ulicy Koperskiego 17.

Jeszcze tego samego dnia wczesnym popołudniem pojechałem na ulicę Koperskiego. Drzwi otworzyła mi starsza, siwa kobieta.

— Czy mógłbym mówić z panem Małeckim? Patrzyła na mnie uważnie dużymi, smutnymi oczami.

— Mąż nie żyje — powiedziała wreszcie — a pań...

— Nie żyje? — nie potrafiłem ukryć zaskoczenia. — Przepraszam, nie wiedziałem.

Zaprosiła mnie do środka. Było to skromnie urządzone, jednopokojowe mieszkanie z małym balkonem. Powiedziałem, z czym przychodzę, nic wdając się w szczegóły. Chodziło mi zwłaszcza o to, czy Wiesław Małecki w sprawie domu przy Jasielskiego kontaktował się z red. Zwolińskim.

Kobieta rozplakała się. Wreszcie wytarła nos wielką, haftowaną chustką.

— Mąż umarł w kwietniu tego roku. Był od wielu lat chory na serce, pan wie, wojna, obóz, to kiedyś musi się odbić na zdrowiu. Wykończyła go ta sprawa z mieszkaniem. Myśmy na Jasielskiego w czterdziestym szóstym własnymi rękami remontowali ten dom, byliśmy tam przywiązani do każdego kąta. Pan Gajstler, jak był w Polsce w sześćdziesiątym siódmym, mówił mężowi, że domu nie sprzedaje, ale jeśli się namyśli, to on będzie miał pierwszeństwo. Potem nagle zjawił się Chamuczyński już jako właściciel. Mąż czuł się pokrzywdzony, pisał w tej sprawie różne pisma, odwoływał się. Tak, był u redaktora Zwolińskiego i rozmawiał z nim kilkakrotnie. Przekazał mu wszystkie adresy, pod które woził nas Chamuczyński, proponując lokale zamiennie.—Męża zdziwiło, skąd on ma tyle możliwości. Jeździł potem sam pod te adresy i upewnił się, że Chamuczyński musi już od dawna handlować mieszkaniami.

— Może wie pani, gdzie mąż był? — zapytałem.

— Chamuczyński pokazywał mu właśnie to mieszkanie. przy Koperskiego, poza tym przy Kawalerów osiem i Jakobińskiej, tam była kawalerka, tu gdzieś miałam zanotowany adres..., o, proszę.

Jeszcze dwa — pomyślałem. A głośno dodałem: Państwo, jak wiem, nie chcieliście się zgodzić na żaden z tych lokali...?

— Proszę pana, one wszystkie były o wiele gorsze niż ten, w którym przez prawie trzydzieści lat mieszkaliśmy, więc jak mogliśmy się zgodzić? W grudniu siedemdziesiątego piątego Chamuczyński wystąpił o eksmisję. Na skutek interwencji redaktora Zwolińskiego odroczone ją. Redaktor mówił mężowi, że to wygląda na dużą sprawę, ale rzecz wymaga czasu i obawia się, że nie zdąży zebrać materiałów przed dokonaniem eksmisji. Chodziło o to, by Chamuczyńskiego przedwcześnie nie płoszyć. Potem przeczytaliśmy w gazecie, że redaktor Zwoliński zginął w górach... i cała nasza nadzieja zawiodła. Czwartego stycznia przyjechali z urzędu i dokonali eksmisji. Tu nas przywieźli. Mąż jeszcze potem interweniował, ale za każdym razem odpowiadali mu, że właściciel ma prawo do zamieszkania we własnym domu i opróżnienia go z lokatorów pod warunkiem, że —dostarczy lokal zamienny, odpowiadający przepisom. W naszym przypadku twierdzili, że wszystko jest w porządku. Mąż tak się tym przejął, że serce nie wytrzymało i... — znowu się rozplakała.

Właściwie to mi w zupełności wystarczyło. Sytuacja rysowała się dość jasno: Chamuczyński kupił dom i wykwaterował z niego lokatorów, po czym natychmiast, po załatwieniu formalności, wynajął go cudzoziemcom, pewnie jakiejś ambasadzie. Trzeba było teraz dowiedzieć się, gdzie Chamuczyński mieszka faktycznie. To miało być właśnie zadanie Amerskiego.

Ledwo zdążyłem wejść do mieszkania, gdy odezwał się telefon. Dzwonił Amerski.

— Czołem, prokuratorze — powiedział bez ceremonialnych wstępów. — Mam dla pana kolejną pigułę. Wiem już, gdzie mieszka Chamuczyński. To jest chałupa przy ulicy Rekord 18, zaraz obok fortów.

Zanotowałem.

— Jak to pan ustalił? — spytałem.

— Normalnie. Chamuczyński ma syna, zadałem więc sobie pytanie, co z żoną. Poszedłem do USC i sprawdziłem, że przed czterema laty Chamuczyńscy rozwiedli się. Rozwodu udzielono na ich zgodny wniosek, rzecz jasna bez orzekania o winie. Chamuczyńska wróciła do swojego dawnego nazwiska... zaraz. Alina Markiewicz. W Głównym Biurze Adresowym w ciągu paru minut znaleźli mi jej aktualny adres. To jest właśnie ta willa przy Rekordu, kiedyś domek dwurodzinny. Chamuczyński kupił go parę lat temu, a przy rozwodzie — w trakcie podziału majątku — przepisał na żonę. Sam przeniósł się przynajmniej formalnie, do M—3 przy Ogrodowej, które kupił w „Locum”. Obecnie stale mieszka przy Rekordu. Na dobrą sprawę, jak się zorientowałem, sąsiedzi w ogóle nie wiedzą, że Chamuczyńscy są rozwiedzeni.

— To było do przewidzenia — mruknąłem — fikcyjny rozwód... nieźle to obmyślili. Ja z kolei mam jeszcze dwa nowe adresy, które trzeba sprawdzić: Kawalerów 8 m. 17, Jakobińska 2 m. 4.

Amerski wymamrotał coś, co z trudem mogło uchodzić za pełną aprobatę mojej propozycji.

— Pan mnie zatrudnia w charakterze przewodnika po Warszawie — poskarżył się. — Gdzie ja mam w ogóle szukać tych ulic? Niedługo, jak tak dalej pójdzie, oblecę całe miasto.

— Redaktorze — powiedziałem — dla siebie też zostawiłem parę spraw. Nie wiemy jeszcze wielu rzeczy. Na przykład tego, gdzie mieszka aktualnie syn Chamuczyńskiego i jego siostra? Ale najważniejsze, że wiemy już, o co w tym wszystkim chodzi. Myślę więc, że na tym etapie możemy całą sprawę skierować urzędowym torem. Umówmy się jutro na telefon. Sądzę, że będę miał panu do przekazania kilka ważnych wiadomości.

3

Skończyłem. Roman bawił się breloczkiem, major Lewicki coś notował. Najbardziej mi zależało na zdaniu tego z wojewódzkiej. Znałem go z paru narad, wyglądał na rzeczowego i sensownego faceta.

Pierwszy odezwał się szef,

— Myślę, że trochę przesadziłeś... że kolega trochę przesadził — poprawił się, zerkając na naczelnika z województwa — z działaniem, na własną rękę. Mam o to pretensję. Ale myślę, że sprawa jest — spojrział pytająco po obecnych. Naczelnik z nadzoru przeglądał w dalszym ciągu moją kilkunastostronicową notatkę. Wreszcie odłożył ją na biurko.

— Wszczynajcie postępowanie — zgodził się. — Z tym, że na razie tylko na okoliczność spekulacji mieszkaniem, co zresztą, jak z tego widać, też nie będzie łatwe do udowodnienia. Sprawa śmierci Zwolińskiego... tu nie mamy nic, to są tylko supozycje, nie poparte żadnymi dowodami. Nic możemy wychodzić z tą tezą, dopóki nic mamy pewności, że...

— Chamuczyńskiego trzeba przesłuchać — przerwałem. — Musi powiedzieć, co robił 28 grudnia.

Szef skrzywił się.

— Masz bzika na punkcie tamtej historii — powiedział. Zresztą ty się nią nie możesz dalej zajmować. Jesteś zbyt bardzo zaangażowany. Zaangażowanie jest c[^]anc, ale nie należy z nim przesadzać. Weź się do aktu oskarżenia w sprawie Anina. Poza tym dostaliśmy wczoraj jeszcze jedną robotę. Facet wypadł z pociągu, albo został wyrzucony, to coś w sam raz dla ciebie...

— Szefie — mówiłem w miarę spokojnie — czy pan nie rozumie, że ja muszę tę sprawę doprowadzić do końca?

— Ale... — stary zaczął się najwyraźniej denerwować. Robiło się nieprzyjemnie, gdy nagle przyszedł mi z pomocą naczelnik z wojewódzkiej.

— Ja myślę, kolego prokuratorze — powiedział że nie ma przeszkód, aby prokurator Borowy nadal nadzorował tę sprawę. Zna ją najlepiej i chce tylko ustalenia prawdy, a nam przecież chodzi o to samo. Rozumiem wasze wahania, ale 39 kpk nie ma tu zastosowania. Ja także uważam, że tę historię trzeba wyjaśnić do samego końca.

Wstaliśmy. Roman zatrzymał mnie chwilę na korytarzu.

— Zacznę od przesłuchania Chamuczyńskiego i przewertowania akt tych wszystkich lokali — oznajmił — dam ci znać jak najszybciej. Co masz teraz w rozkładzie jazdy?

— Muszę się podszkolić z przepisów — mruknąłem — dawno w tym nie grzebałem. Na' szczęście mam gdzie zebrać o pomoc.

Amerski zadzwonił o. wpół do drugiej informując mnie, że najemcą lokalu przy ul. Kawalerów jest niejaki Jan Nowak. Przedtem mieszkała tam pewna staruszka, podobno jego krewna. Ze względu na wiek i niedołęstwo wystąpiła z wnioskiem o przydzielenie jej miejsca w domu opieki społecznej. Co do Nowaka, to nikt go bliżej nie zna, a dozorca twierdzi, że facet tam de facto nie mieszka, bo go nigdy prawie nie widuje, lokal zaś stoi pusty. Ale to oczywiście nic jeszcze nie znaczy; lokator może np. większość dni w roku pracować w terenie. Ciekawsze jest to, że Nowak zameldował się przy Kawalerów na krótko przed zabraniem lokatorki do domu opieki społecznej, zresztą na jej wniosek, potem zaś załatwił sobie przydział opróżnionego lokalu. Co do Jakobińskiej, to mieszka tam aktualnie pewien inżynier architekt. Mieszkanie kupił przed pół rokiem od niejakiego Mirosława Górnego, któryż kolei nie wiadomo gdzie przebywa. Formalności z upoważnienia Górnego załatwiała jakaś pani.

— Nic z tego nie rozumiem — sapnąłem — a ' co pan o tym myśli?

Amerski chwilę medytował.

— Jeśli pan ma rację co do całości — powiedział ostrożnie — to istnieje tylko jedna możliwość: między Nowakiem i Chamuczyńskim istnieje pewnie jakiś związek, który musimy ustalić.

— Owszem — przyznałem. — Uwzględniając dodatkowo rodziny, pozwoliłoby im to na obracanie większą pulą lokali.

— Właśnie.

— A ten... Górny, kto to?

— Nie mam pojęcia. Niech pan w końcu pogoni swoich ludzi do roboty, ja już nóg nie czuje. Cześć!

Spojrzałem na zegarek. Była za dwadzieścia trzecia. Znowu wrócę późnym wieczorem i Ela będzie zła jak chrzan.

Janusza zastałem w Biurze Notarialnym. Wertował z namaszczeniem opasie księgi.

— Musisz mi stary poświęcić chwilę czasu — rozpadłem się wygodnie i wyłuszczyłem, o co chodzi. Nie wyglądał na szczególnie zachwyconego moją propozycją.

— Jeszcze jeden na szkolenie — westchnął — no, dobra, niech ci będzie. Interesuje cię po pierwsze stan prawny domów przedwojennych na terenie Warszawy, tak? Sprawa ma się następująco. W 1945 r. na jesieni wyszedł dekret o komunalizacji gruntów w całej stolicy. Co do nieruchomości, to domy, które miały więcej niż 4 lokale lub ponad 20 izb zostały upaństwowione. Natomiast domki jednorodzinne i tak zwane małe domy mieszkalne (czyli mające nie więcej niż 4 lokale i nie więcej niż 20 izb) pozostały w rękach prywatnych. Ich właściciele, jeśli to nie kolidowało z planami rozwoju miasta, otrzymywali automatycznie bezpłatne prawo użytkowania gruntu, na którym stał dom, z tym że w ówczesnej sytuacji było nie do pomyślenia, by pozostawić te domy do wyłącznej dyspozycji właścicieli. Część z nich zresztą przebywała za granicą. Dekret o publicznej gospodarce lokalami i kontroli najmu dał początek tak zwanemu kwaterunkowi. Urzędy przydzielały lokale również w domach prywatnych i ci, którzy je otrzymali, mieszkali na mocy urzędowego nakazu. W przypadku domów przejętych na własność przez państwo, bądź też takich, co do których właściciel nie złożył w odpowiednim terminie wniosku o przyznanie prawa własności (a spraw takich było wiele, wiadomo, po wojnie trudno było od razu zaprowadzić porządek) państwo przyznawało ich lokatorom promesy, jeśli deklarowali, że budynek odbudują i wyremontują. W zamian mieli w przyszłości uzyskać wyłączenie domu czy lokalu spod kwaterunku. Taka umowa była korzystna dla obu stron, bo nie było wtedy realnej możliwości, by państwo uporało się z odbudową i remontami na wszystkich frontach, lokator zaś odbudowujący lokal na własny koszt liczył, że będzie on kiedyś jego własnością.

Potem przyszły lata pięćdziesiąte i wydano nowe przepisy, które unieważniły wszystkie promesy. Lokale, odbudowane i wyremontowane przez lokatorów objęto publiczną gospodarką lokalami. Czynsze były małe, a lokatorzy otrzymali oficjalne, państwowe „przydziały” na swoje mieszkania. Lokalami dysponował odtąd wyłącznie kwaterunek. W latach sześćdziesiątych nastąpiła wyraźna liberalizacja przepisów. Właściciel przy spełnieniu określonych warunków (coraz więcej budowała spółdzielczość) wreszcie mógł starać się o wyłączenie domu spod publicznej—gospodarki lokalami, 1 sierpnia 1974 r. weszło w życie nowe prawo lokalowe, które całą rzecz potraktowało jeszcze bardziej elastycznie. Właściciele mają odtąd prawo do zamieszkania w swych domach i lokalach pod warunkiem, że zostaną one opróżnione. To ostatnie często jest najtrudniejsze do zrealizowania, oczywiście z powodu braku wolnych mieszkań na rynku. Utarła się więc praktyka, że właściciele” sami dostarczają lokale zamienne. W takim przypadku przepisy nakładają na urząd obowiązek przekwaterowania najemcy pod wskazany adres. Sprawy z reguły wloką się latami, a konllikty są na porządku dziennym.

— Skąd właściciel bierze mieszkania dla lokatorów, których chce przekwaterować?

— Zadajesz, stary, pytania, na które nie sposób odpowiedzieć. Co to znaczy: skąd bierze? Ludzie mają różne osobiste układy. Załóżmy, że facet mieszka z żoną w spółdzielczym M—3. a jego dzieci mają własne mieszkanie. Nabywa dom z lokatorami. Ponieważ jako właściciel, zgodnie z przepisami, ma prawo do zamieszkania w nim, oferuje swoje mieszkanie na zamianę. Lokator albo się zgadza, albo nie. wtedy urząd po stwierdzeniu, że owe M—4 odpowiada normatywom przyjętym dla lokalu zamiennego — dokonuje eksmisji. Właściciel zajmuje z żoną jeden lokal w swoim domu. Potem sprowadza dzieci, których mieszkanie z kolei przeznaczają dla lokatorów drugiego lokalu w jego domu. I tak dalej.

— A co z trzecim lokatorem? — zapytałem. Janusz jęknął.

— Czego ty ode mnie chcesz? Co z trzecim... No. powiedzmy, że właściciela stać na to i mu kupi od ręki mieszkanie własnościowe. I tak rzecz się opłaca, bo cały dom, który odtąd ma do swojej dyspozycji, jest wart na przykład półtora miliona. Może w nim spokojnie zamieszkać z rodziną i ułożyć sobie wreszcie życie.

— Albo go sprzedać za dwa miliony i zacząć zabawę od nowa — podsumowałem. — Czy mógłbyś mi w czymś pomóc? Chciałbym rzucić okiem w księgę wieczystą domu przy ulicy Jasielskiego 8.

— Jasielskiego? — Janusz zmarszczył brwi. — To nie mój rejon, ale nie szkodzi, zaraz sprawdzimy. Musisz tylko podać numer repertorium.

Wrócił po kilku minutach z gęsto zapisaną kartką, której treść skonfrontowałem z danymi w notesie. Wszystko się zgadzało. Właścicielem domu był Chamuczyński, aktem notarialnym Gajsztler zrzekł się również prawa użytkowania wieczystego działki. Cena kupna—sprzedaży wynosiła 450 tys. zł.

— Nie uderza cię, że to cholernie mało? — spytałem Janusza. — Ten dom jest na pewno wart z półtora miliona.

— A lokatorzy? Zapomniałeś o nich? Przecież z tego aktu wynika, że nabywca coś z lokatorami będzie musiał zrobić, a to znacznie obniża cenę. Poza tym dla takiego gościa, jak ten Gajsztler to i tak jest czysty zysk. Przecież on do Polski nic zamierzał wracać, nic by już z tego domu nie miał. A tu dostał na czysto pół miliona. Zresztą my nieraz domyślamy się, że suma, jaka figuruje w akcie notarialnym, jest zaniżona. Kontrahenci chcą w ten sposób uniknąć płacenia większego podatku nic wiedząc, że obecnie przy jego wymiarze bierze się pod uwagę ceny rynkowe za metr kwadratowy, nie" zaś to, co formalnie figuruje w dokumencie. Chodzi o przeciwdziałanie spekulacji. Zresztą, również i my, jeśli uda się ujawnić tego rodzaju fakt, odmawiamy sporządzenia aktu i zawiadamiamy właściwe władze. Ale z reguły trudno takie rzeczy udowodnić. Co cię jeszcze gniewa?

— Interesuje mnie dom przy Rekordu 18. Tym razem nie mam numeru repertorium.

— Rekordu, Rekordu... — Janusz grzebał w pamięci — to jest mój rejon... sprawdzimy po adresie.

Upłynęło znów kilka minut, nim znalazł to, o co go pytałem.

— No, masz — wskazał palcem. — Dom należał do niejakiego Jerzego Martyniaka... który w 1969 wyjechał na stałe za granicę. Dom sprzedał... o, proszę —? zerknął na mnie ciekawie, tak mi się przynajmniej wydawało — Stanisławowi Chamuczyńskiemu za 550 tys. zł. Chamuczyński był właścicielem do 1971, kiedy to przekazał dom w drodze darowizny Alinie Markiewicz.

— To jego żona, z którą się rozwiódł.

— Aha. To wszystko.

— Lokatorów tam nic było?

— No, nie... tak z tego wynika, pewnie ten Martyniak już ich wcześniej spławił.

— Mnie nie musisz spławiać — wstałem. — Wielkie dzięki i bywaj zdrów.

Przez dwa kolejne dni nic się nie działo. Sporządziłem w notatniku wykaz mieszkań, które nas interesowały, i usiłowałem ustalić, kto, gdzie i w jakim okresie mieszkał. Już przy siódmej pozycji zniechęciłem się. Nadal nic nie rozumiałem.

Roman zadzwonił w piątek po południu.

— Więc tak, Misiu — zaczął, a następnie powiedział kilka zdań, których treść do mnie nic dotarła.

:— Poruczniku — powiedziałem z naganą — po raz kolejny stwierdzam z przykrością, że macie złą dykcję. Z taką wymową nic przyjmą was nawet do chóru kościelnego. Poza tym...

— Przestań się wygłupiać — rozzłościł się — powtarzam: przesłuchaliśmy Chamuczyńskiego. Jeśli chodzi o sprawę rozwodu i tego drugiego domu, z punktu widzenia przepisów wszystko jest w porządku. Formalnie nie są małżeństwem, ale on ma prawo mieszkać, gdzie mu się żywnie podoba, nawet u ciebie.

— Nie dopełnił obowiązku zameldowania — zauważyłem — no, ale wal dalej.

— ...natomiast, jeśli chodzi o pozostałe adresy, daje nam jakieś mętne wyjaśnienia. Mówi, że tej kobiecie, żonie Małeckiego, coś się musiało pokręcić, bo on jej męża na ulicę Kawalerów nie woził. Zresztą, nie była przy tym, więc skąd może wiedzieć?

— A co z mieszkaniem przy Jakobińskiej?

— Twierdzi, że właścicielka była gotowa sprzedać mu to mieszkanie i wtedy mógłby w nim ulokować kogoś z wykwaterowanych lokatorów.

— Trzeba to sprawdzić. Pytaliście go, co robił w ubiegłym roku po świętach?

— Tak i, niestety, stary, ale masz na koncie kolejne pudło. Był od dwudziestego grudnia do 4 stycznia w Hiszpanii na noworocznej wycieczce z „Orbisem”. Pojechał z synem, wrócili o jeden dzień wcześniej, trzeciego stycznia, ze względu na termin eksmisji ostatnich lokatorów.

— Wszyscy gdzieś się w tym czasie zadekowali — zauważyłem. — Żeby znaleźć choć jednego człowieka, który by powiedział, że nie pamięta, co wtedy robił, albo, że oglądał w domu telewizję, czy leż był na meczu tenisowym.

— Hokejowym.

— Dlaczego hokejowym?

— Pora roku, pora roku, stary... Zadajesz czasem takie pytania, jakbyś dopiero co uczestniczył w meczu hokejowym i któryś z przeciwników pomylił krążek z twoją głową.

— W twoim przypadku nie byłaby to wielka różnica, poruczniku, ale za ten dowcip, jak się spotkamy, dostaniesz wiosennego cukierka. Należy ci się. Teraz natomiast sprawdźcie jedną rzecz. Szkoda, że nie zrobiliśmy tego wcześniej, no, ale' trudno. Zażądajcie pełnej listy gości, którzy nocowali w schronisku na Ornaku z 27 na 28 grudnia ub.r. Zwróćcie zwłaszcza uwagę na tych z Warszawy. Może trafimy na jakieś znajome nazwisko. Hej, jesteś tam?

— Jestem i coś ci powiem. Jakkolwiek z wyżyn swojej prokuratorskiej pracy masz nienajlepsze mniemanie o zdolnościach skromnego, przeciętnego porucznika milicji ze służby śledczej, chciałbym poinformować, że ja od czasu do czasu leż uruchamiam proces myślenia.

— Niemożliwe — zdziwiłem się.

— Tak jest i wyobraź sobie, że to, co Borowy, chluba prokuratury, wymyślił dzisiaj, szary funkcjonariusz, ciągle czekający na awans, zrobił już wczoraj.

— Jesteś, Romku, genialny — powiedziałem z nietajonym uznaniem. — Przypnę ci przy najbliższej okazji medal z kartofla, bo innego nie mam. Ale mów, nieoceniony: wyszło coś?

— Gównno, Misiu, i to absolutne. Na schronisko tego dnia spadła klęska w postaci studentów z Krakowa, którzy je, zresztą, okupywali aż do Nowego Roku. Dla innych gości w tej sytuacji nie starczyło zbyt wiele miejsca. Zwolińskiego w schronisku znali, bo co roku tam wpadał, więc łóżko zawsze dostawał bez trudności, nawet w ostatniej chwili. Jeśli chodzi o innych, to z Warszawy mieli jedynie parę rześkich starszków — emerytów, jakąś panią z Otwocka, która liczyła, że sobie pojeździ na nartach, a pojechała do szpitala z powodu sensacji sercowych — i księdza. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nich uganiał się za twoim przyjacielem po górach z młotkiem w rękawie.

— Ale to jeszcze nie znaczy, że nie mam racji. Myślę, że ktoś po prostu wiedział, że Zwoliński tej nocy będzie spał u Ornaku i wcześniej rano zjawił się w schronisku, dzięki czemu nie musiał się meldować. Pilnował cały czas Andrzeja i wyszedł w ślad za nim.

— Mam nadzieję — zauważył z przekąsem Roman — że nie każesz nam teraz ustalać listy pasażerów trzech pierwszych autobusów do Doliny Kościeliskiej sprzed roku.

Z trzaskiem otworzyły się drzwi i do pokoju wparował Amerski, — dając rękoma znaki, bym szybko kończył rozmowę, bo ma mi coś ważnego do zakomunikowania. Zapowiedziałem Romanowi, że jeszcze do niego zadzwonię i odłożyłem słuchawkę.

— Kolego prokuratorze — powiedział Amerski — mam dla was drobną niespodziankę. Czy wiecie, kto to jest Jan Nowak? Inżynier Jan Nowak?

— Skąd mam wiedzieć?

— Właśnie — zasapał Amerski — a ja wiem. To jest brat Stanisława Chamuczyńskiego. Zresztą rodzony.

— Drogi redaktorze — powiedziałem ostrożnie — zdaje się, że coś wam się pokręciło. Jeśli jest jego rodzonym brałem, to jak może nosić inne nazwisko?

Amerski uśmiechnął się szeroko. To był uśmiech reportera, który wiedział, czego chce, i wcześniej czy później musiał dotrzeć do celu.

— W tym tkwi cała zagwózdka. Ponieważ nie wiedzieliśmy, kim jest Nowak, wstąpiłem do urzędu stanu cywilnego...

— Pan tam ma, zdaje się, dobrą mele — zauważyłem mógłby mnie pan zaprotegować? Czy ona jest Krysia, Kasia czy Klotylda?

— Rzeczywiście, fajna dziewczyna — zgodził się bez oporów Amerski. — Kiedyś pisałem reportaż o kierownikach urzędu stanu cywilnego, wie pan, taki socjologiczny portret i zaprzyjaźniliśmy się, no, nie-

ważne. Tak czy owak znalazłem tego Nowaka. I cóż się okazuje? Ze w szczęście, dźwiękiem szóstym zmienił nazwisko.

— Jak to zmienił? Przecież nazwisko to nie żona, która może się znudzić.

— Tak, ale przepisy mówią, że, jeśli ktoś ma nazwisko o brzmieniu ośmieszającym albo utrudniającym mu działalność, może wystąpić z wnioskiem o jego zmianę...

— Chamuczyński — zastanowiłem się — no, faktycznie...

— Otóż to. Zamiast Mieczysława Chamuczyńskiego mamy od tej pory Jana Nowaka. Co więcej...

Dzwonił telefon. Oblędny dzień.

— Misiu?... — usłyszałem głos Romana. — Mam informację, która cię ucieszy. Jan Nowak, to Mieczysław Chamuczyński. brat Stanisława Chamuczyńskiego. W 1966 roku wystąpił o zmianę nazwiska, jego wniosek uwzględniono. Co ty na to?

— Dziękuję wam, poruczniku, ale prasa jest operatywniejsza od milicji. Już to ustalił redaktor Amerski.

— O! — zdziwił się nieprzyjemnie a skąd się dowiedział?

— Z samiotkiego USC, wyobraź sobie. Wy, jak się domyślam, z biura dowodów osobistych...

— Tak i w związku z tym chcę ci powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy, której śladu w aktach USC nie mogło być, natomiast została odnotowana u nas. Otóż na krótko przed wydaniem decyzji, wyrażającej zgodę na zmianę nazwiska. Mieczysław Chamuczyński zgłosił do nas fakt zagubienia dowodu osobistego. Ścisłej mówiąc, utrzymywał, że mu go skradziono. Ogłoszenie w gazecie nie dało rezultatu.

— Ślicznie. Nowy dowód, jak rozumiem, dostał już na nazwisko Nowak.

— Tak. oczywiście. Rozumujemy zdaje się identycznie: jeśli zachował stary dowód, to widocznie z myślą, że mu się przyda. Jak sądzisz — do czego?

Siadłem na parapecie okna patrząc na ruchliwą o tej porze ulicę.

— Sądzę — powiedziałem że ponieważ familia Chamuczyńskich nic zajmuje się wyrobem pluszowych misi ani hodowlą karpí, a jej jedynym obiektem zainteresowania są mieszkania, hokus pokus z dowodem musiał być podporządkowany temu właśnie celowi.

— Jasne — zgodził się Roman. — Co w związku z tym proponujesz?

Jestem dziwnie przekonany, że jeśli teraz sprawdzicie w biurze adresowym, gdzie mieszka Mieczysław Chamuczyński, a wszystkie jego stare dane przecież macie, to trafimy na jakiś kolejny dom, którego jest właścicielem i który! przynajmniej> formalnie, zajmuje.

Sprawdźcie leż przy okazji, jak się nazywa żona Nowaka...

— To zbędne — przerwał mi Ameryki — proszę, tu jest wszystko zapisane. Poda! mi kartkę, na której odczytałem: ..Anna Górna zamieszkała ulica Puszczy Jodłowej 45".

— Górna. Górna... Jak się nazywał ten facet z Jakobińskiej?

— Mirosław Górny, jej syn. Zresztą dopiero co skończył 20 lat. Sądzę, że po osiągnięciu przez niego pełnoletności Nowakowie kupili mu mieszkanie przy Jakobińskiej, w którym oczywiście nigdy nie mieszkał.

Nowak po rozwodzie z żoną przepisał na nią willę przy Puszczy Jodłowej, a sam kupił dom na Mokotowie, który sprzedał dwa lata temu. Ostatnio pojawił się w lokalu przy ulicy Kawalerów. Prawdopodobnie wiedział, że lokatorka stara się o miejsce w domu opieki społecznej. Zapłacił więc kobiecie jakąś sumę i za jej zgodą zameldował się tam, oczywiście nie mieszkając, a polem załatwił sobie przydział tego lokalu. I w ogóle wygląda na to, że w obiegu są jeszcze jakieś mieszkania, o których nie wiemy.

Słyszałeś Romciu? rzuciłem do słuchawki.

— Słyszałem mruknął ponuro biorę się do roboty.

— Cześć!

Popatrzyłem ciężko na Amerskiego. Ruletka zaczęła się na dobre kręcić.

Wszedł szef z jakimiś papierami pod pachą. Przywitał się z roztargnieniem z Amerskim. dopiero, kiedy usłyszał jego nazwisko, ożywił się.

— Niech pan do mnie zajrzy, redaktorze, gdzieś za dwa tygodnie — zachęcił mam bomba sprawę. Kradzież ponad dwudziestu Fiatów 125. Musimy tylko poczekać do zamknięcia śledztwa i dostaje pan ją na wyłączność. Zgoda?

— Zgoda — Amerski coś sobie zanotował w notesie i już go nie było. Szef podał mi trzymany w ręku papier.

— Czytaj.

Był to list nadesłany za pośrednictwem konsulatu polskiego w Waszyngtonie do Prokuratury Wojewódzkiej, która przesłała go nam z adnotacją: „do pilnego wyjaśnienia”. Nadawcami byli państwo Carterowie z Colorado Springi. Pisali poprawną, choć miejscami chropowatą polszczyzną:

„Zwracamy się do odnośnych władz polskich z prośbą o wyjaśnienie następującej sprawy. W marcu 1975 r. po przeszło trzydziestoosmioletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych nasz 65—letni stryj Józef Kaczyński zdecydował, się na powrót do ojczystego kraju. Nadmieniamy, że żona Józefa Kaczyńskiego Eulalia Kaczyńska zmarła przed trzema laty, a ponieważ nie mieli oni dzieci, stryj pozostał sam. My mieszkamy w Colorado Springs, stryj zaś miał fermę oraz dom w pobliżu Wilmington na wybrzeżu. Utrzymywaliśmy kontakt korespondencyjny, ale znaczne odległości uniemożliwiały nam częste widywanie się. Stryj postanowił wrócić do Polski, bo czuł się samotny, a poza tym, jako rodowity warszawiak, chciał tam właśnie dokończyć życia, Fermę oraz dom sprzedał, przy których to formalnościach pomogliśmy mu. Następnie stryj wyjechał do Polski, gdzie na jego zlecenie załatwiła mu mieszkanie firma «Locum». Latem 1975 r. stryj przysłał nam list, w którym pisał, że mieszka w trzypokojowym mieszkaniu w domu przy ulicy Oszczepników 85, taki adres nam podał... To mieszkanie nie podobało mu się i zamierzał je sprzedać, kupując jednocześnie duży dom z ogrodem. W sprawie tej podjął pewne kroki... Ostatni list od stryja otrzymaliśmy we wrześniu 1975 r. Pisał w nim, że znalazł już dom i sprawa ma się ku końcowi, ale bliższego adresu nie podał poza tym, że dom miał być w Konstancinie pod Warszawą. Wiemy, że stryjowi w załatwieniu tej sprawy pomagał jakiś mecenas (...)

Od tamtego czasu nie mieliśmy już od stryja żadnej wiadomości. Nasz list, który wysłaliśmy w styczniu pozostał bez odpowiedzi. Drugi list w kwietniu pisaliśmy znów pod adres, który podał nam stryj, to znaczy ulica Oszczepników 85 m. 27. Odpisał nam w końcu jakiś pan. On stwierdził, że nic nie wie, a nasz stryj tam nie mieszka. Ten pan kupił mieszkanie w «Locum» w maju... My jesteśmy bardzo zaniepokojeni, co się też ze stryjem dzieje i prosilibyśmy o informacje w tej sprawie. Nadmieniamy, że stryj przywiózł do Polski duży kapitał, którego część zamierzał ulokować w dom. Prosimy o przysłanie nam informacji na adres...”

— Ich nie stryj interesuje, tylko forsa — mruknąłem — po co mi to dajesz?

Szef sięgnął po kolejny papier.

— Zobacz.

Była to informacja nadesłana z Komendy dzielnicowej na żądanie Prokuratury Rejonowej. Wynikało z niej, że w sprawie listu Carterów zostało przeprowadzone postępowanie wyjaśniające przy pomocy organów administracji państwowej. „W jego rezultacie ustalono, co następuje; 66—letni Józef Kaczyński zmarł 29 października 1975 r. we własnym mieszkaniu przy ulicy Oszczepników 85 m. 27. Przyczyną było zażycie zbyt dużej ilości proszków nasennych. Na podstawie wywiadu ustalono, że Józef Kaczyński leczył się u prywatnego lekarza, dra Stojanowskiego. Pacjent od dawna skarżył się na silne zaburzenia snu, w związku z czym lekarz przepisywał mu środki nasenne. Były to środki łagodne, gdyż wiek i choroba serca Kaczyńskiego nic pozwalały na stosowanie silniejszych specyfików. Kaczyński skarżył się, że mu na sen niewiele pomagają. Przyczyną śmierci było zażycie zbyt wielkiej ilości silnych środków, które Kaczyński stosował na własną rękę. Potwierdziły to oględziny miejsca wypadku. Wszystkie rzeczy Kaczyńskiego wraz z książeczką PKO na sumę 500 tys. zł zostały zabezpieczone, a z uwagi, że nie odnaleziono dotąd rodziny — o której wiadomo było, że istnieje (poszukiwania trwają) — znajdują się one w depozycie. Mieszkanie przejęło ponownie biuro spółdzielcze «Locum». Jak ustalono, stało cno "puste aż do kwietnia br. kiedy to nabył je za walutę wymienną obywatel Zenon Kwaśniewski, przebywający uprzednio dwa lata na budowie w Libanie w charakterze konstruktora specjalisty. W lokalu tym zamieszkuje on do dziś". I dalej: „Przypuszczenie nadawców, jakoby zmarły Józef Kaczyński kupił dom, nie znalazło potwierdzenia w toku postępowania wyjaśniającego. Podczas zabezpieczenia rzeczy w mieszkaniu nic nie znaleziono żadnego dokumentu, który świadczyłby o tym, że tego rodzaju czynności zmarły Józef Kaczyński rzeczywiście przedsięwziął. Ustalono natomiast, że na kilka dni przed śmiercią J. Kaczyński podjął z książeczki PKO 1 milion 800 tysięcy złotych. Ponadto wzw posiadał konto dewizowe, które pozostało nienaruszone. Co stało się z podjętymi pieniędzmi, nie zdołano w toku postępowania ustalić". U dołu dopisano długopisem: „Podejrzenie zabójstwa jest mało prawdopodobne. Jak potwierdziły zeznania sąsiadów, denat żył samotnie i nie utrzymywał żadnych kontaktów towarzyskich. Z akt chorobowych wynikało nadto, że zaznaczyły się u niego pierwsze objawy tzw. demencji starczej",

— Co o tym sądzisz? — spytał szef, widząc, że skończyłem.

— Interesujące — przyznałem — myślę jednak, że gdyby dobrze poszukali, toby te pieniądze wcześniej czy później znaleźli. Teraz, po roku rzecz jest trudniejsza. Oni tu piszą, że pomagał mu w załatwieniu formalności jakiś mecenas. Trzeba spróbować tej drogi i sprawdzić we wszystkich zespołach adwokackich w Warszawie, który z nich zajmował się, no, powiedzmy, począwszy od lipca ub.r. taką sprawą. A w ogóle ja już mam tych mieszkań po dziurki w nosie. Widzę, że zaczynam robić za głównego specjalistę w tej dziedzinie. Muszę skończyć najpierw swoją sprawę, bo jeszcze trochę i oszaleję.

5

Telefon poderwał mnie o w pół do siódmej rano. Klnąc, na czym świat stoi, usiłowałem go odnaleźć, ale Kia miewała dziwny zwyczaj stawiania aparatu na podłodze i to w miejscach najmniej nieoczekiwanych. Okazuje się, że nawet ludzie, którzy odznaczają się wielkim zamiłowaniem do porządku, mają swojego małego prywatnego szmergla. Wreszcie dopadłem aparatu w okolicach toaletki.

— Co ty tam zapadłeś w sen zimowy? — sapał podniecony Roman, — Misiu, mamy go. .. — Kogo? — zapytałem jeszcze nic całkiem przytomnie.

— Nowaka, czyli Chamuczyńskiego. A właściwie mamy len jego dom. W Konstancinie. Tak jak podejrzewałeś: zarejestrowany na nazwisko Mieczysława Chamuczyńskiego. Piękny dworek, od marca wynajęty cudzoziemcom. z Ameryki Południowej. Zapłacili mu za rok z góry.

—Znakomicie — powiedziałem — robiliście rewizję?

— No, nie, sam rozumiesz, że byłyby komplikacje, to są Brazylijczycy. Zresztą oni mówią prawdę: od czasu, kiedy im to wynajął i zainkasował forszę, nie pokazał się tam, bo i po co? Zostawił tylko meble. Jedziemy teraz na Puszczy Jodłowej. Myślę, że zastaniemy go w łóżku z jego własną, rozwiedzioną żoną. Wyślałem po ciebie samochód.

Pomyślałem: ostatni dzień. Byłem tego prawie pewny. Ubierając się usłyszałem, jak z piskiem hamulców pod dom podjeżdża radiowóz.

6

Rewizja dobiegała końca. Anna Górna, kobieta postawna, o wyzywającej, mimo czterdziestu paru lat, urodzie, siedziała milcząc w fotelu. Funkcjonariusze przeglądali dokumenty.

Roman z ponurą miną wrócił do pokoju.

— Zwiął nam — powtórzył po raz nie wiadomo który — to skubaniec, Ale kto go uprzedził? Chamuczyński nie mógł się przecież domyśleć, że coś wiemy na temat brata. Zabrał oczywiście książeczkę PKO i oba dowody. Wykołował nas.

— Spokojnie — powiedziałem ostro — daleko nie ucieknie. Sam nam powie, skąd się dowiedział. Zresztą, ja już się domyślam. Tej „lipnej” sprzedaży domu z Kaczyńskim nic załatwiłby bez pomocy trzeciej osoby.

Co masz na myśli? — Roman zaciekawił się, ale ja spojrzałem niecierpliwie na zegarek.

— Kiedy wreszcie przywiozą tę portierkę? Przyjechali po kilkunastu minutach. Starsza, zażywna jejmość była wyraźnie wystraszona.

— Niech się pani nie boi — uspokoiłem ją. — Pani jest dozorczynią domu przy ul. Oszczepników 85?

— Portierką jestem, bo tam jest taka portiernia...

— Dobra, wszystko jedno. Pana Kaczyńskiego pani pamięta?

— No, Jezus, jak nie miałabym pamiętać, to Amerykaniec...

— Nie Amerykaniec, tylko Polak ze Stanów Zjednoczonych. Pani powiedziała wtedy po tym wypadku, że go nikt nie odwiedzał...

— Ja nie powiedziałam, że go nikt nie odwiedzał, ja tylko mówiłam, że go nigdy z nikim nie widziałam, on był taki samotny dziwak. Zawsze dał mi co najmniej 20 zł, jak mu ściągałam windę...

— Pani Kacperska — przerwałem — niech pani popatrzy teraz uważnie na to zdjęcie i powie: widywała pani tego człowieka, jak wchodził do waszego domu?

Kacperska założyła okulary i z ciekawością przyglądała się fotografii Nowaka, którą funkcjonariusze znaleźli w szufladzie.

— Tak, przypominam go — powiedziała wreszcie — on bywał parę razy w naszym domu. Dał mi nawet raz 50 zł za otworzenie drzwi na dole, jak wychodził po dwudziestej trzeciej, więc go pamiętam. Bardzo miły pan.

— Dobrą ma pani pamięć, pani Kacperska, szkoda tylko, że pani nie zapytała, kogo odwiedza.

— No, Boże, pytałam, ale on puścił oko i powiedział: kochanie, sama pani rozumie.

— I pani rozumiała?

— No, Jezu, pewnie, że rozumiałam. Musiał chodzić do tej ksiuty na czwartym piętrze, ona dość często przyjmowała eleganckich panów. Zresztą, za co by sobie w PKO mieszkanie kupiła?

— Dobra, to wszystko — zwróciłem się do Romana. — Sprawdźcie u tej „Ksiuty”, czy Nowak u niej bywał; Mogę wam z góry powiedzieć, że nie, ale zapytajcie. Nowak przychodził do Kaczyńskiego i uzgadniali sprawę kupna tego domu w Konstancinie. To była wielka operacja: na prawie dwa miliony. Ten plan musiał zagrać.

— Ale... Jednej rzeczy nic rozumiem — zaczął Roman.

— Zaczekaj. Wiem, o czym myślisz, ale to było do przewidzenia, że nic tu nie znajdziemy. Tak jak i było do przewidzenia, że szukając w zespołach adwokackich nie trafimy na tego, kto prowadził sprawę Kaczyńskiego. Przygotujcie list gończy za Nowakiem. Nakaz aresztowania Stanisława Chamuczyńskiego tak samo, podpiszę za dwie godziny. Ale najpierw muszę jeszcze gdzieś pojechać. Potem przyjadę prosto do komendy.

7

— To wszystko — mężczyzna w fartuchu patrzył na mnie wyczekująco. Raz jeszcze przerzuciłem kolorowe zdjęcia, robione w Stanach Zjednoczonych, parę papierów dotyczących mieszkania, jakie Kaczyński otrzymał ze Spółdzielni „Locum”, list z Colorado Springs i rachunki za telefon (prawie nie telefonował — pomyślałem, widząc stułotowe kwoty i odnotowaną na blankietach minimalną ilość rozmów).

— Żadnego notatnika... nic? — spytałem. Mężczyzna przecząco pokręcił głową.

— Jest jeszcze ten modlitewnik i dwie książki — podał mi.

Więc jednak nawet pod tym względem się zabezpieczyli. Wziąłem bezmyślnie do ręki modlitewnik i zacząłem bezwiednie przerzucać strony. Wyleciał mały karteluszek. Mężczyzna schylił się i podniósł go. Spojrzałem i schowałem kartkę do kieszeni.

— Dziękuję — powiedziałem — to jest właśnie to, czego szukałem. Czy muszę panu pokwitować kartkę?

Wzruszył ramionami i zaczął zbierać ze stołu rzeczy do plastikowego worka. Biegłem po schodach do samochodu.

8

W willi paliły się światła. Roman pchnął furtkę, była otwarta. Stanęliśmy pod drzwiami. Nacisnąłem dzwonek. Na mój widok Janusz cofnął się. Zobaczył, że jest nas trzech. Zrozumiał.

— Mogłeś mi zaoszczędzić tej obstawy — powiedział i dałbym — głowę, że w jego głosie zabrzmiał wyrzut. Wytrzymał moje spojrzenie.

Milicjanci sprawnie zakładali kajdanki. Pod dom podjeżdżał drugi wóz z ekipą, która miała za chwilę rozpocząć rewizję.

— Za co jestem aresztowany? — zapytał ze spokojem, który mnie zdumiał.

— Za nielegalne transakcje nieruchomościami oraz zamordowanie Andrzeja Zwolińskiego. Nadto za blisko 2 milionowe oszustwo na szkodę Józefa Kaczyńskiego i prawdopodobnie, to jeszcze wyjaśnimy, współudział w zamordowaniu go. Myślę, że jak na jeden raz, w zupełności wystarczy.

Zrobił gwałtowny ruch w kierunku drzwi, jak gdyby w ostatniej chwili przyszedł mu do głowy jakiś niedorzeczny pomysł, ale zobaczył na ganku rosłego sierżanta z paskiem pod brodą i oklapł.

— Niczego mi nie udowodnicie — odezwał się spokojnie. — Będziesz się musiał dobrze namęczyć, żeby zmontować akt oskarżenia w tej sprawie.

Pokręciłem głową.

— To już nie ja. Ja swoje zrobiłem. Nie wierzyłem do ostatniej chwili, ale musiałem być konsekwentny. Do samego końca.

Wyprowadzali go. W progu jeszcze raz się odwrócił.

—Odwiedź mnie — zakpił — będziesz mile widziany.

Zmierzyliśmy się wzrokiem.

—Nie wiem, czy zdążę — powiedziałem twardo.

9

Siedzieliśmy we czwórkę w gabinecie szefa, który złopał jakąś poranną kawę. Roman palił jednego papierosa za drugim. Amerski zażarcie notował. Tylko naczelnik Patera z wojewódzkiej siedział bez ruchu, słuchając.

Mówiłem cicho i bardzo spokojnie. .

— Są ludzie, którzy zawsze, w każdym miejscu i czasie wyczują sprzyjającą koniunkturę, dobrze kalkulują, na czym można zrobić interes. Do nich właśnie należał notariusz Zimecki — niestety — bliski kolega ze studiów mój i Andrzeja Zwolińskiego. Jako biegły prawnik miał świetne rozeznanie w przepisach. Jako człowiek — już w momencie życiowego startu doskonale wyposażony przez rodziców — miał pieniądze. To — samo przez się — niczego nie stanowi, ale Zimecki miał, niestety, jeszcze jedną zasadę: wyznawał, że warte zachodu jest wszystko, co korzystne dla niego samego.

Nic od razu zaczął kombinować. Sądzę, że lata całe był przykładnym notariuszem. Niemniej stykał się już wtedy z sytuacjami, których źródłem był skomplikowany bądź często w ogóle nie uregulowany, stan własności budynków. To podsunęło mu myśl, że warto swą wiedzę wykorzystać.

Ze Stanisławem Chamuczyńskim zetknął się w czasie, gdy ten, będąc prywatnym przedsiębiorcą handlowym, budował mu willę. Zimecki zorientował się, że ma do czynienia z fachowcem nie tylko od stawiania cegieł. Chamuczyński z kolei doszedł do wniosku, że nawiązanie bliższej znajomości z notariuszem, osobą zaufania publicznego, mającą dostęp do interesujących go dokumentów, jest wprost wymarzoną okazją, by zdynamizować własne interesy.

Ostatecznie zbratało ich pewne wydarzenie. Chamuczyńscy już od dawna kombinowali z mieszkaniami. W tym czasie Zimecki w księgach wieczystych zwrócił uwagę na dom przy ulicy Drzewostanu 17, którego właściciel, mieszkający w Anglii, od czasu wyjazdu przed wojną, nic dawał o sobie znaku życia. Wkrótce potem Zimecki pojechał do Anglii. Znając adres właściciela, postanowił przy okazji nawiązać z nim kontakt. I oto okazja wprost sama wpadła w ręce: okazało się, że człowiek ów nie żyje już od 20 lat. Skoro zaś przez ten czas nikt się nie upomniał o dom, jaki zostawił w Polsce, Zimecki słusznie rozumował, że sprawa jest bezpieczna. Sam miał już wykończoną przez Chamuczyńskiego willę, żony zaś w swoje kombinacje nie chciał wciągać. Porozumiał się więc z Chamuczyńskim i zawarli korzystną dla obu stron transakcję. Zimecki sporządził fikcyjny akt notarialny, mocą którego nieżyjący już dawno właściciel sprzedawał Chamuczyńskiemu dom wraz z lokatorami za sumę 500 tysięcy. Oczywiście żadna kwota nie została zapłacona, bo i komu? Natomiast Zimecki, przeprowadzając się do nowo zbudowanej willi, pozostawił do dyspozycji Chamuczyńskiego swoje własnościowe M—4, do którego tamten przekwaterował lokatorów z pierwszego lokalu, a tych z drugiego do mieszkania, które już wcześniej załatwił dla syna. Jako doświadczony przedsiębiorca budowlany szybko odremontował dom i sprzedał go za milion sześćset tysięcy, którymi to obaj panowie: Zimecki i Chamuczyński sprawiedliwie się podzielili po dokonaniu obustronnych potrażeń.

Chamuczyńscy handlowi mieszkaniami podporządkowali całe swoje życie. Temu celowi służył już złożony w latach sześćdziesiątych przez Mieczysława Chamuczyńskiego wniosek o zmianę nazwiska wraz z jednoczesnym upozorowaniem zagubienia dowodu osobistego. Pozwoliło mu to na nabycie w początkach lat siedemdziesiątych domu w Konstancinie (również od właściciela mieszkającego za granicą), w Warszawie zaś domu przy ulicy Puszczy Jodłowej. Obie te posesje znów „nadał” Chamuczyńskiemu Zimecki, który miał dostęp do wszystkich ksiąg wieczystych, orientując się, który z właścicieli nie ma zamiaru wracać do kraju i powinien dom tanio sprzedać. Oczywiście od obu transakcji pobrał wysoki procent. Dom w Konstancinie Mieczysław Chamuczyński wynajmował cudzoziemcom, ostatnio Brazylijczykowi, pobierając za to

sowitą zapłatę, rzecz jasna w dolarach i innych walutach zachodnich. Jednocześnie jako Jan Nowak został właścicielem domu przy ulicy Puszczy Jodłowej, skąd szybko przekwaterował dwójkę lokatorów.

— Jak to zrobił? — przerwał mi Roman. — Tu się dzieją cuda rodem z Kany Galilejskiej, mam na myśli ciągle rozmnażanie się mieszkań.

— Ja też się nad tym zastanawiałem — przyznałem ale tę sprawę wyjaśnił red. Amerski. Stanisław Chamuczyński w tym czasie budował willę pod Warszawą dla pewnej pani, która zwierzyła mu się ze swoich życiowych spraw. Opowiedziała między innymi, że jak tylko wykończy dom, zabiera do siebie matkę staruszkę, która ma własne jednopokojowe mieszkanie kwaterunkowe przy ul. Jesiotra 7 m. 5. Chamuczyński nie mógł przepuścić takiej okazji. Przekonał właścicielkę, że przekazanie mieszkania po matce kwaterunkowi byłoby niepowetowaną stratą. Uzgodnili więc, że trzeba zawrzeć fikcyjną umowę zamiany mieszkania między starszą panią a bratem Chamuczyńskiego Janem Nowakiem, którego przedsiębiorca budowlany przedstawił jako swego znajomego. W tym czasie Nowak wynajął już jeden z lokali w domu przy ul. Jodłowej, którego był właścicielem. Lokatorów przekwaterował do mieszkania w blokach, kupionego uprzednio synowi. W momencie, gdy Chamuczyński zakończył robotę przy willi w Milanówku właścicielka w imieniu matki oraz Nowak wystąpili o zamianę mieszkań przy ul. Jesiotra 7 na lokal w domu przy ul. Puszczy Jodłowej 45. Oczywiście wniosek, jak i inne papiery podpisywała staruszka, nie zorientowana, o co chodzi. Córka jej prawdopodobnie wytłumaczyła, że jest to potrzebne, by pozalać do końca wszelkie formalności. Urząd wyraził zgodę na zamianę mieszkań, mimo iż w zasadzie była ona sprzeczna z duchem przepisów. Na mocy tej umowy do mieszkania przy ul. Jesiotra sprowadził się Nowak, staruszka zaś została zameldowana w rzekomo zwolnionym przez niego lokalu przy Puszczy Jodłowej. Oczywiście nigdy tam ani przez moment nie przebywała. Natomiast po dokonaniu zamiany córka zabrała ją do siebie, za co dostała od Nowaka 400 tysięcy złotych. Nowak zaś na krok nic ruszył się ze swojego mieszkania przy Puszczy Jodłowej, w którym, zgodnie z urzędowymi dokumentami, winna przebywać staruszka. Zyska! natomiast tą drogą pełnowartościowe mieszkanie przy Jesiotra, będąc jednocześnie właścicielem dwóch domów (jednego z nich pod poprzednim nazwiskiem, o czym wspomniałem). Dzięki tej operacji do mieszkania przy ul. Jesiotra mógł wkrótce przekwaterować drugiego z lokatorów i dom był jego w całości. Wkrótce przeprowadził fikcyjny rozwód ze swą żoną Anną Górą, pozostawiając jej dom przy ul. Puszczy Jodłowej, a sam zameldował się w mieszkaniu przy Kawalerów osiem, uzyskując wkrótce potem jego przydział.

—Cholera — powiedział szef — w głowie mam same numery domów. Można zwariować.

— Można, ale oni nie zwariowali. Pracowali systematycznie, w sposób planowy. Stanisław Chamuczyński fikcyjnie rozwiódł się z żoną, zostawiając jej willę przy ul. Rekordu. Sam nabył dla siebie w „Locum” mieszkanie przy ul. Ogrodowej, następnie zaś przy pomocy Zimeckiego, któremu znowu przy tej okazji odpalił sowitą prowizję, nawiązał kontakt z właścicielem domu przy ulicy Jasielskiego 8. niejakim Gajszlerem, od którego za psie pieniądze kupił posesję. Lokatorów przekwaterował po kolei: do mieszkania przy Ogrodowej — artystę plastyka Kubisia, do mieszkania przy Akacjowej, które należało do jego córki — wdowę Pieńską z synem, na końcu zaś najdłużej opierających się Małeckich do lokalu przy ul. Koperskiego 17 m. 15, gdzie mieszkała jego siostra, zresztą od dwóch lat przebywająca za granicą. Po załatwieniu tej sprawy dom natychmiast wynajął cudzoziemcom, pracownikom jednej z ambasad, a sam przeniósł się do żony na ulicę Rekordu. Takich transakcji, jak należy sądzić, było więcej. Wszystko to zostanie dopiero szczegółowo ustalone.

—Co ze sprawą Kaczyńskiego? — spytał z pretensją Amerski. —O tym prawie nic nie wiem.

— Historia z Kaczyńskim to zupełnie odrębna karta. Tu stawką, na którą postawiono, była ludzka samotność. Nowak miał znajomości w urzędzie i spółdzielniach mieszkaniowych, umiał się zawsze znaleźć, budził zaufanie, bywał tam częstym gościem. Dom przy Oszczepników, w którym do dyspozycji „Locum”

pozostawało kilkanaście mieszkań, zawsze go bardzo interesował, chociażby dlatego, że z usług tej firmy już nieraz korzystał. Zorientował się, że Józef Kaczyński, który po latach wrócił z Ameryki do Polski, jest człowiekiem samotnym i co ważniejsze — przywiózł ze sobą kupę forsy.

W urzędzie, przy okazji jakiejś przypadkowej rozmowy dowiedział się, że ten z Ameryki chce oddać mieszkanie „Locum” i kupić jakiś dom. By! niedawno i wypytywał, jak się to załatwia. Nowak zwietrzył doskonałą okazję. Nawiązał z Kaczyńskim kontakt jako Mieczysław Chamuczyński, proponując mu kupno domu w Konstancinie. Kaczyński zgodził się pojechać z nim do Konstancina, gdzie obejrzeni posesję. Nowak okazał też wszystkie dokumenty, które świadczyły, że jest jej prawowitym właścicielem. Kaczyńskiemu dom z ogrodem bardzo się podobał, ale nic mógł się pewnie pozbyć nieufności, jako że był już człowiekiem starym i nieco zdziwaczałym. Wobec tego Nowak sam zaproponował, że pojedą do notariusza, gdzie Kaczyński będzie mógł zobaczyć na własne oczy zapis w księdze wieczystej. Tak też się stało. Notariusz Zimecki zachowywał się w sposób budzący zaufanie. Kaczyńskiemu nie przeszło nawet przez myśl, iż obaj panowie się znają i realizują z góry ukartowany plan. Zwłaszcza że Zimecki zachęcił Kaczyńskiego, by, jeśli ma jakieś wątpliwości, zajrzał do niego, a on mu chętnie będzie służył radą i pomocą. Kaczyński wrócił do biura zaraz po pożegnaniu się z Nowakiem i powiedział Zimeckiemu, że dom chciałby kupić, ale będąc dopiero od niedawna w Polsce prosiłby aby Zimecki jako doświadczony prawnik („mecenas” — tak go cały czas tytułował) zbadał sprawę pod kątem faktycznym i prawnym. Zimecki certował się trochę, co też było z góry wkalkulowane w cały plan, a co z kolei Kaczyńskiego utwierdziło w przekonaniu, że trafił do najbardziej godnej zaufania osoby, miast błąkać się po zespołach adwokackich. Ujęło go też, że Zimecki nawet nie chciał słyszeć o żadnej zapłacie, podkreślając, że jest urzędnikiem i wykonuje swoje obowiązki.

Zadzwoił do Kaczyńskiego po kilku dniach. Oświadczył, że dokładnie wszystko zbadał i upewnił go, że robi dobry interes na kupnie domu w Konstancinie. Wprawdzie Kaczyńskiemu cena wydawała się wygórowana, ale Zimecki stwierdził, że nic odbiega ona od cen, z którymi ma na co dzień do czynienia przy sporządzaniu aktów notarialnych, a poza tym wartość działek oraz domów stale zwyżkuje. Dalej już wszystko potoczyło się gładko. Określonego dnia o określonej godzinie Kaczyński i Nowak stawili się w biurze notarialnym przed Zimeckim, który w ich obecności spisał akt notarialny kupna—sprzedaży domu w Konstancinie. Kaczyński wpłacił kwotę miliona ośmiuset tysięcy złotych na konto należące do Nowaka, notariusz zaś zamarkował przeniesienie własności i pobrał przewidzianą przepisami opłatę. W rzeczywistości w księgach wieczystych zapis się nic zmienił, oprócz zaś oryginału aktu notarialnego, który Zimecki natychmiast po wyjściu obu panów zniszczył (Nowak rzecz jasna zrobił to samo ze swoim odpisem), do odzyskania pozostał tylko odpis, jaki otrzymał Kaczyński. Nowak po pożegnaniu z Kaczyńskim nie spuszcza! go z oka, a po upewnieniu się, że nabywca udał się do domu, odwiedził go pod jakimś pozorem jeszcze tego samego dnia, w porze, kiedy wiedział, że Kaczyński zażywa lekarstwo. Wykorzystując jego nieuważę podsunął bardzo silne środki nasenne w miejsce tych, które Kaczyński brał zwykle. Z wcześniejszych rozmów z Kaczyńskim wiedział już, że zażycie silniejszych środków musi się okazać dla niego fatalne. Zresztą, gdyby nie udało się zamienić fiolek, Nowak i tak znalazłby inny sposób, by Kaczyńskiemu pomóc w zejściu z tego świata. Taki był bowiem sens całego planu. Po uśmierceniu Kaczyńskiego, Nowak zabrał odpis aktu notarialnego i zniszczył go. Przeszukał jeszcze pobieżnie mieszkanie, żeby upewnić się, czy nie pozostał jakiś inny ślad transakcji, która z tą chwilą nie znajdowała już nigdzie żadnego udokumentowania. Można przyjąć, że o tej sprawie Stanisław Chamuczyński mógł nic wiedzieć. Nowak i Zimecki, natomiast podzielili się pieniędzmi w ten sposób, że Zimecki zainkasował pół miliona. Nowak zaś resztę, to jest milion dwieście tysięcy. Należało mu się, bo w końcu najbardziej nieprzyjemną część roboty, decydującą o ostatecznym powodzeniu całej operacji, wziął na siebie. Nie przewidzieli tylko tego, że w tym czasie Kaczyński zdążył napisać list do Stanów, w którym zawarł nikłą, ale ważną informację o swoich planach. Była jeszcze maleńka kartka, włożona w modlitewnik — z telefonem i nazwiskiem notariusza Zimeckiego. Nowak szukał u Kaczyńskiego notesu. Nic znalazł, bo Kaczyński nic posługiwał się nim. Zabójcy nie wpadło natomiast do głowy, że karteczka wtknięta w mały modlitewnik kiedyś okaże się ostatnim ogniwem pozwalającym ujawnić całą historię.

Szczegółowe wyjaśnienia dotyczące zabójstwa Kaczyńskiego Nowak złożył zaraz po jego aresztowaniu, które, jak już wiecie, nastąpiło przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy. Chyba go to całkowicie załamało, bo, w odróżnieniu od Zimeckiego, jak dotąd, udziela nam obszernych informacji.

Koman kiwnął głową na znak, że potwierdza moje słowa. Amerski przerwał notowanie.

— Niech pan jeszcze powie — zażądał — jak pan wpadł na to, że Andrzej nie zginął w wypadku?

— Ta historia była dla mnie szczególnie trudna do rozwikłania — przyznałem. — Powiem więcej, że gdyby nie fakt, iż Andrzej Zwoliński był moim przyjacielem ze studiów i jego śmierć potraktowałem w kategoriach sprawy osobistej, pewnie bym ją pozostawił swojemu biegowi, Punkty zaczepienia były bowiem nikle. Wtedy, w "noc sylwestrową w górach, kiedy dokonywałem oględzin miejsca wypadku, brak plecaka nic dawał mi spokoju. Nie znalezienie dokumentów i kluczy do mieszkania dawało się od biedy wytłumaczyć, mogły być włożone do plecaka. Ale co z plecakiem? Ostatecznie przyjęliśmy, że Zwoliński tym razem wybrał się na wycieczkę bez plecaka, dokumenty zaś, klucze i inne drobiazgi zostawił gdzieś w Zakopanem, gdzie się zatrzymał na parę dni. Wszystko zresztą zdawało się wskazywać na to, że był to typowy, górski wypadek. Dziś wiem, że popełniliśmy błąd.

Jak wiecie, do Warszawy wróciłem latem tego roku, podejmując znowu pracę w tej oto prokuraturze, w której już przedtem spędziłem ładne parę lat. Trafiła do mnie sprawa napadu na willę w Aninie, przy okazji której u jednego ze sprawców, o pseudonimie Kalaput, znaleźliśmy zegarek skradziony z mieszkania dziennikarza. Kalaput przyznał się, że mieszkanie nadał mu Docent. Okazało się jednak, że nim się tam włamał, zostało ono już dokładnie przeszukane przez kogoś innego...

— ...kto szukał czegoś zupełnie innego, niż oni — uzupełnił Roman.

— Dużo dziś mówisz — zatroszczył się nagle szef! — Może herbaty? — zapytał tonem, który sygnalizował, że ofiarodawca byłby wdzięczny za brak akceptacji jego propozycji, co też, zresztą, się stało. Ciągnąłem dalej:

— Nie miałem powodu, by nie wierzyć Kalaputowi, ale jego zeznanie stanowiło dla mnie cenny trop. Rozmowa z Anną, przyjaciółką Andrzeja, utwierdziła mnie w przekonaniu, że mam rację. Dziewczyna była całkowicie pewna, że Andrzej jadąc w góry, zabrał ze sobą plecak. Postanowiłem go odnaleźć. Dzięki pomocy goprowców udało się odszukać plecak, który wprawdzie po roku przedstawiał już żalostny widok, ale nie ulegało wątpliwości, że był to plecak Andrzeja — co ważniejsze — został zrzucony w przepaść nie razem z nim!

Tu przyznaję, że w swoich poszukiwaniach zagalopowałem się. Siedząc historię procesu kombinatora Chrobika z Andrzejem nabrałem przekonania, iż to właśnie Chrobik mógł upozorować wypadek, dokonując zabójstwa redaktora Zwolińskiego. Zresztą, parę faktów sugerowało prawdopodobieństwo takiej sytuacji. Okazało się jednak, że Chrobik, kiedy doszło do wypadku, leżał w szpitalu i z całą sprawą nie miał nic wspólnego. Trop okazał się z gruntu fałszywy.

Na właściwy ślad doprowadził mnie dopiero redaktor Amerski, który po powrocie z zagranicy powiedział, że Andrzej rozpracowywał sprawę gangu mieszkaniowego, a następnie zawiózł pod adres, gdzie kiedyś Zwolińskiego podrzucił samochodem. Tak dotarliśmy najpierw do Stanisława Chamuczyńskiego, potem zaś Jana Nowaka. Tę samą drogę odbył przed rokiem Andrzej. — On również ustalił szereg powiązań oraz faktów przestępczych machinacji. Sądzę na przykład, iż Zwoliński wiedział już, że Jan Nowak to Miecysław Chamuczyński. Wiedział też zapewne o dwóch domach na różne nazwiska i handlu na szeroką skalę uprawianym przez przedsiębiorczą rodzinę. Nie dotarł natomiast do sprawy Kaczyńskiego, bo i nie było jak

do niej dotrzeć. Sygnałem stał się dopiero list od rodziny ze Stanów, który nadszedł przed kilkunastu dniami i pozwolił obie te sprawy połączyć.

Co gorsza jednak, Andrzej nic znalazł najważniejszego ogniwa w tej sprawie, jakim była przestępcza działalność notariusza Zimeckiego. Sądzę zresztą, że był już bliski, choć jeszcze nieświadomy tego odkrycia. Zimecki wiedział, że wcześniej czy później Zwoliński do niego dotrze. Rozmowy, w których dziennikarz prosił go jako starego przyjaciela, a zarazem fachowca, o informacje faktyczne i prawne, bez trudu pozwoliły ujawnić krąg penetracji reporterskich Andrzeja. W tym kręgu byli już obaj bracia Chamuczyńscy, co Andrzej Zimeckiemu powiedział, nie podejrzewając ani przez moment, na jak wielkie naraża się w ten sposób niebezpieczeństwo.

W tej sytuacji Zimecki postanowił działać. Nie miał więcej chwili do stracenia, czuł się zagrożony. Fakt, że Andrzej, niczego nie podejrzewając, traktował go jak przyjaciela, znakomicie ułatwił zadanie. Umówił się ze Zwolińskim tuż przed świętami na dłuższą rozmowę, w trakcie której planował prawdopodobnie wyciągnięcie z niego większej ilości informacji. Pozwoliłyby one na zorientowanie się, jak blisko prawdy dotarł dotąd dziennikarz. Trudno powiedzieć, czy już wtedy miał konkretny plan zbrodni, której dokonanie tu, na miejscu, nic było rzeczą łatwą. Jednakże na dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia zadzwoniła do Zimeckiego sekretarka z redakcji, odwołując w imieniu Andrzeja spotkanie w związku z wyjazdem redaktora w góry. Zimecki dowiedział się od niej, gdzie Andrzej zarezerwował nocleg i natychmiast wyjechał z Warszawy. Wczesnym rankiem zjawił się w schronisku i upozorował przypadkowe spotkanie ze Zwolińskim, który wybierał się na Czerwone Wierchy, by zejść do Zakopanego. Nie było w tym nic dziwnego: pamiętajmy wszak, że Zimecki podobnie jak Zwoliński i kilka innych osób ze studenckiej paczki sporo chodzili po górach. Andrzej więc mógł tylko ucieszyć się ze spotkania i chętnie przystał na propozycję wspólnej wędrowki. Wiatr, mgła i deszcz ułatwiały plan — w takich warunkach, zwłaszcza o tej porze roku, turystów na szlaku można policzyć na palcach. Przeszli obaj przez Tomanową, a kiedy już dotarli do wąskiej ścieżki na Krzesanicy, przebiegającej tuż nad urwiskiem, ? Zimecki ogłuszył Andrzeja silnym uderzeniem (prawdopodobnie kamieniem, bądź leż wcześniej przygotowanym i ukrytym narzędziem). Następnie, po ściągnięciu plecaka, zepchnął go w przepaść. To był zresztą błąd. Gdyby bowiem Zimecki przeszukał plecak, nim jeszcze zepchnął Zwolińskiego, a następnie ponownie przypiął mu go do pleców, na wydarzenie to nie padłby żaden cień podejrzenia. Ale Zimecki był zdenerwowany, śpieszy! się. Mimo nikłego ruchu na szlaku, obawiał się, że w czasie przeszukiwania plecaka może ktoś nadejść. Od momentu zaś, gdy już zepchnął ciało, wyglądał na turystę, który na chwilę zatrzymał się, żeby odpocząć.

Ani w kieszeniach Andrzeja, ani w plecaku Zimecki nie znalazł notesu, w którym Andrzej zapisywał wszystkie swoje spostrzeżenia, posługując się nim w czasie poprzedniej rozmowy z notariuszem. Zabrał więc tylko klucze oraz dokumenty. Już następnego dnia po dokonaniu zabójstwa znalazł się w mieszkaniu dziennikarza, dokładnie je przetrząsając w poszukiwaniu interesujących go materiałów. Znalazł to, czego szukał: Andrzej notes zostawił w mieszkaniu. Musiał zawierać rzeczywiście ważne zapiski, bo Zimecki natychmiast go zniszczył. Sądził, że w ten sposób zatarł za sobą ostatni ślad.

— Mam do pana jeszcze jedno pytanie — Amerski stukał długopisem w blat biurka. — Kiedy pan zaczął podejrzewać Zimeckiego? W końcu przecież sam pan mówi, że był pańskim przyjacielem?

— Bardzo późno — odparłem szczerze. — Ta myśl zaczęła mi świtać w głowie wówczas, kiedy zyskaliśmy pewność, że Kaczyński kupił! dom w Konstancinie. Wskazywało na to podjęcie przez niego dwa dni wcześniej miliona ośmiuset tysięcy z konta PKO, a także rozpoznanie przez portierkę Nowaka, jako tego, który kilkakrotnie przychodził do domu przy ul. Oszczepników 85. A jeśli tak. było dla mnie oczywiste, że wszystko musiało mieć pozory formy prawem przepisanej. W tym celu niezbędna była pomoc prawnika. Fakt, że nie udało się go znaleźć wśród adwokatów zatrudnionych w zespołach, potwierdził! moje przypuszczenie. Wiedziałem też, że nie natrafimy na żadne ślady po akcie notarialnym, a zapis w księdze wieczystej

— jako właściciela parceli i domu w Konstancinie wykazywać musi nazwisko Jana Nowaka. Sprawdziłem, kto z notariuszy spisuje akty z tego terenu — okazało się, że właśnie Zimecki. Kartka znaleziona wśród rzeczy po Kaczyńskim, znajdujących się w depozycie, stanowiła dowód ostatni.

— Powiedział pan, że to była dla pana sprawa osobista. Czy taka sytuacja ułatwiła ostatecznie doprowadzenie jej do końca?

— I tak, i nie — powiedziałem. — Dzięki temu, że znałem ofiarę — Andrzeja, szukałem bardziej intensywnie wszelkich śladów, które mogłyby doprowadzić do zabójcy. To, że znałem Zimeckiego, uśpiło moją czujność i nie pozwoliło na szybsze ustalenie zabójcy, co w innych okolicznościach nastąpiłoby być może wcześniej.

— Bóg zapłać za szczerą odpowiedź — Amerski złożył notes. Szef z naczelnikiem Paterą wymieniali półgłosem uwagi. Wstałem.

— Byłbym wdzięczny panom, gdybyście nic mieli już więcej pytań. Spieszę się; mam za parę dni ślub i chciałbym ewentualnie zamienić na ten temat kilka słów z własną żoną, bo dotąd nie mieliśmy okazji.